

Z PRZEŻYĆ I WRAŻEŃ MYŚLIWSKICH



STEFAN KRZYWOSZEWSKI

Z PRZEŻYĆ I WRAŻEŃ MYŚLIWSKICH

Z 24 RYSUNKAMI

KAMIŁA MACKIEWICZA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ

PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

Z PRZEŻYĆ I WRAŻEŃ
MYSŁIWSKICH

W BAWOŁACH

KAMILA MACIEWICZA



345384



WYDAWCA: WOLFF I GEBETHNER
KRAKÓW - WILNA - LUBLIN - ŁÓDŹ

KRAKÓW — Druk W. L. Anczyca i Spółki

1927

WIOSNA NA PIŃSZCZYŹNIE



ZNUDZIŁ cię, przyjacielu, jednostajny szablon wielkomiejskiego życia, te same twarze w teatrze, klubie czy restauracji, gorączkowy pośpiech, uszminkowany fałsz, literackie swary i plotki, ustawiczny niepokój, czający się nawet w ciszy nocnej, płoszący sen? Obrzydło ci życie gorączkowe a płytkie, o wirach zawrotnych nieraz, lecz powierzchownych? Pragnąłbyś uciec daleko od «smętku tego wszystkiego?» Francuz, Anglik, ogarnięty spleen'em, siada na okręt i gubi się w piaskach pustyni lub gąszczach dżungli. Obywatelowi Rzeczypospolitej wystarczy wsiąść do pociągu na dworcu Wschodnim. Noc ledwie przeminie, już zmienił się doszczętnie krajobraz, rzadkimi stają się wsie i uprawne pola, coraz więcej lasów, wód i łąk błotnistych. Wiosna się rodzi. Za Pińskiem nurty rzek giną już w niezmiernych rozlewach; tu i ówdzie cherlawy las moknie w bajorach, z wód wyzierają nieśmiało czuby podwodnych traw, mnożą się gęste kępy ledwie zieleniejącej łożyny, przez

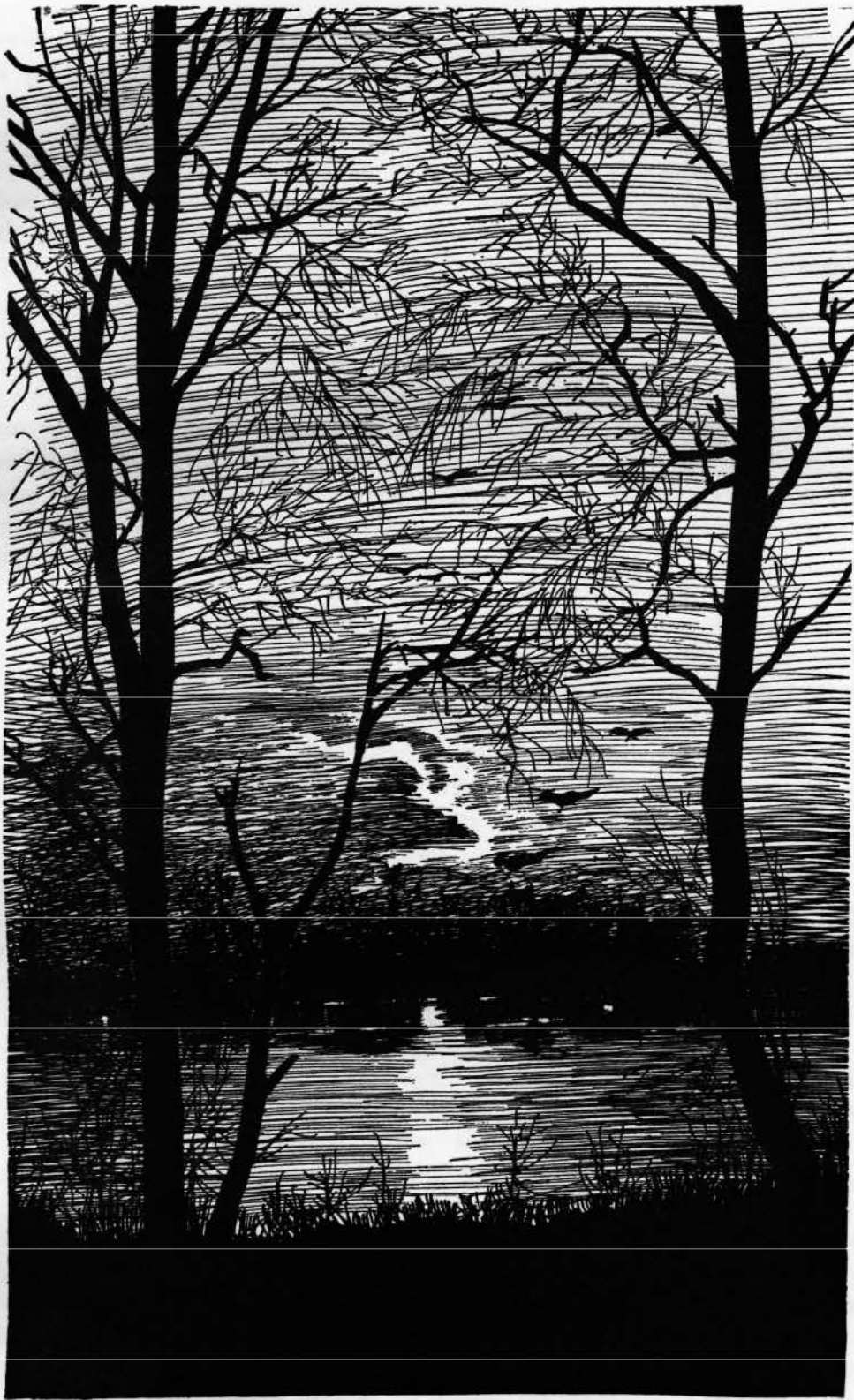
zwarte szeregi smukłych a brodatych oczeretów strzeżone. Wysiądziesz na małej stacyjce, cichej i sennej — trzęsiesz się wózkiem poleskim z woźnicą w siwej sukmanie i wielkiej czapie baraniej po grobli, kunsztownie z dylów sosnowych zbudowanej, a które jak klawisze uginają się pod kołami. Nigdy jeszcze zapewne, obywatelu stołeczny, flaki twoje nie były narażone na równie ciężką próbę. Małe koniki przebierają żwawo kosmatymi nogami, bryczka skacze bez przerwy, i wydaje się niemożliwe, aby kiszki nie porwały się na strzępy. Dokoła, jak okiem sięgniesz, pustka. Żaden dym nie kała ciężkiego od obłoków nieba. Żadnej żywej istoty, prócz jastrzębia, który krąży wysoko. Wczoraj wyjechałem z Warszawy — w jakim dziwnym, dalekim, innym znalazłem się kraju! Z poza koronki koszałowych sosen wyłania się wreszcie wydma piaszczysta, i pięć porochońskich wiatraków wyciąga w rozpaczonym, zastygłym geście ramiona. Wjeżdżam w szeroką i długą ulicę siola, obramowaną drewnianymi, zgrabnemi chatami. Nic wspólnego z naszą mazowiecką lub krakowską wsią, o białych, czy niebieskawych ścianach, w sadach skąpaną, wesołą chichotem dzieciaków, nawoływaniem bab, szczekaniem psów... Tutaj nikt się głośno nie śmieje — nawet dzieci. Pies zrzadka się pokaże, zieleń wiśni i grusz nie przysłania sadyb. A zajedziesz do dworu — piękna, czarująca pani, miast kanarków lub papugi w klatce, pokaże ci w salonie skrzynię, w której hoduje poleskie, czarne węże. Okręci sobie białe ramię taką żywą bransoletą, i całuj teraz, braciashku, białą rączkę, mając ruchliwy, giętki pyszczek bestji z wyciągniętym, cienkim języczkiem nad głową. Potknęła ci się noga o jakąś żywą przeszkodę na posadzce — postrzegasz żółwia wielkiego jak talerz, który spaceruje swobodnie. — Nie szkodzi — powiada uprzejmy gospodarz — po nim wóz drabiniasty może przejechać, i skorupa nie pęknie. W błotach za ogrodem jest ich setki...

Chwała Bogu, że w tych wodach niema krokodyli.

.....

W gościnnym domu pp. Czechowiczów w Porochońsku, jako głównej kwaterze, zebrała się myśliwska kompanja. Prosto z Nieświeża przybyli Maurycostwo hr. Potoccy i p. Lasocki. Wielkanocne polowanie na głuszcze w olbrzymich lasach ordynacji udało się wybornie. Padło 15 kogutów. Młoda, gorejąca niespożytym, myśliwskim temperamentem, hr. Potocka zwała 10-go głuszca. Całe popołudnie upływa na myśliwskich zwierzeniach. Plan kampanji łowieckiej rychło ustalony. Dziś pod wieczór pojedziemy wszyscy na ciąg słonek. Jutro rozdzieli się towarzystwo. Hr. Potocka, hr. Jan Zamoyski z Podzamcza i ja udamy się do kniei na głuszcze. Są raporty. Grają. Aby tylko było ciepłej! Hr. Maurycy Potocki i p. Lasocki pojedą odrazu Bobrikiem (odnoga Prypeci) na jeziora. Towarzyszyć im będą p. Czechowicz i Kamil Mackiewicz, niezrównany artysta-rysownik, który tutaj kończy swe świetne album wojska polskiego. Spotkamy się wszyscy na Cholczy. Pani domu obiecuje również tam przybyć.

.....



Zapóźniliśmy się nazajutrz z wyjazdem, a droga do Bogdanówki wynosi dwadzieścia parę wiorst, przeważnie po owych szatańskich klawiszach, które kiszki na szwank groźny narażają. Mrok gęstnieje, gdy poprzez «brodki» — kałuże, w których małe szkapy nieraz zanurzają się po brzuchy — dostajemy się do szaleńcu w sercu kniei. Okazuje się, że leśnicy nie byli na zapadach, nie osadzili głuszców. Jutro zapowiada się niepewne — tem niepewniejsze, że chłód dojmuje coraz dotkliwszy, o świcie spodziewać się należy przymrozku.

I oto zaczyna się okres leśnego, pierwotnego życia. Nocleg na sianie, pod gołym niebem, przy niegasnącem ognisku, które trzeszczy wesoło. Jedyna w świecie sypialnia. Wysokopienne w tem miejscu sosny tworzą wspaniałą bazylikę, ciemnoszafirowy, głęboki strop nieba usiany drżącymi gwiazdami. Już z koszyków i puzder wydobyto zapasy. Kartofle pieką się w popiele, kawałki kielbasy na patyczkach, z rąk do rąk przechodzi miarka z wódką. W kociołku warzy się cokolwiek brudnawa woda na herbatę. Nasza towarzysza jest niewyczerpana w pomysłach ku linarnych. Wszystko wie, o wszystkim pamięta. Z jej polecenia dwóch leśników idzie natoczyć soku brzoźowego: słodkawa, nieco lepka ciecz okazuje się napojem smacznym i orzeźwiającym.

Kniewa zasnęła. W tej nocy leśnej tkwi jakaś niesłychana, potężna tajemnica, która sprawia, że i ludzie mówią półgłosem, prawie szeptem. Leśnicy w swych łapciach, sznurkami przewiązanych, poruszają się tak cicho, że nawet suchy liść pod ich stopą nie zaszeleści. Gdzieś w oparzeliskach żaba ozwie się czasem głuchym, żalonym dźwiękiem.

Siedzimy na zwałonej kłodzie przed ogniskiem, które żarem bije w lica, gdy po plecach, od kniei, ślizga się chłód wilgotny. Cisza. Wtem jęgliwe, tchnące dziwną grozą, donośne zawodzenie poszło po lesie. Drgnęli wszyscy.

— Wilki — szepnął z powagą leśnik. — Ale daleko.

Spojrzenia pobiegły ku opartym o sosnę strzelbom.

— Gdybyż chciały podejść bliżej — westchnął nabożnie hr. Zamoyski.

Zaszywamy się w siano, gajowi dorzucają zwałonych sosen do ognia. Niebawem całe obozowisko w śnie głębokim.

...Noc jeszcze ciemna, gdy budzi mnie dotknięcie twardej dłoni.

— Pora, pane.

Nasza urocza towarzysza już trzyma fuzję w ręku, świeża i rzeźka, jak gdyby dwanaście godzin w puchach spędziła. Noc ciemna, gwiazdy migocą na niebie. Nic jeszcze nie zwiastuje ranka. Ruszamy gęsiego naprzelaj. W lewej ręce dubeltówka, w prawej rosocha — długi kij, rozwidlony na końcu. Przyda się bardzo, gdy w ciężkich, gumowych butach trzeba będzie dokonywać sztuk ekwilibrystycznych na zwałach i wykrotach, na wąskich kładkach zwłaszcza, przerzucanych przez bajora i trzęsawiska. Mimo to od czasu do czasu chlupnie głośno woda — myśliwemu poślizgnęła się noga, i wpadł po kolana. Kilka takich przechadzek, a spacer po linie cyrkowej wyda się dziecinną igraszką...

Zatrzymujemy się na małej polance. Nasłuchujemy pilnie. Leśnicy znikli wśród drzew. Czekamy w religijnem niemal skupieniu ich powrotu. Od zachodu widno-

krań zaczyna rozwidniać się zimnym seledynem. Mróz chodzi po kościach. Polana srebrnym szronem przysolona. Odzywa się nieśmiały szczebiot co wcześniej budzących się ptaszyn. Z dwóch stron przeciwnych cietrzewie zaczynają swoje monotonne, uparte i głupie tokowanie. Tylko głuź nie chce się odezwać. Kolejno wracają leśnicy. Oblicza strapione.

Dziś nic nie będzie...

.....

Dzień cały spędzamy w puszczy, przy koczowisku. Pod wieczór przenosimy się w inne rewiry. Gdy moi towarzysze wraz z leśnikami udają się na zapady, ja zostaję na błotnistej drodze, przez którą ciągnąć mają słonki. Na zachodzie rumieni się niebo poprzez różgi brzoź i olszyny: krajobraz Ménard'a. Z przeciwnej strony — Corot: polanka, gąszczem okolona i w błękitny mgieł spowita. Ale najistotniej ten krajobraz poleski utrwalił Fałat i Weyssenhoff.

Las teraz, pod schyłek dnia, rozśpiewany jest, podniecony. Przedziwne szczebioty, gwizdy, poświstywania, tony czyste, tremola, brzęczenia i stękania... Cietrzew gdzieś niedaleko znów uparcie i głupio belkoce. Nisko, nad rudymi mchami i bajorami już zmierzch się osadza, wykroty i pokurczone na bagnie chojaki przybierają w sinym półmroku niesamowite kształty. Wsłuchuję się bacznie w muzykę kniei. Zimny dreszczyk zaczyna chodzić po plecach. Wtem pierwsze, jeszcze odległe chrapanie słonki. Odrazu zrobiło się ciepło. Fuzja drgnęła w rękach. Zapomniałem o wszystkim, czekam tylko, kiedy śmignie ciemny ptak na tle szarzejącego nieba...

Sunie szybko czarny punkcik dość wysoko nad wierzchołkami drzew. Wziąłem dobrze przed niego, pociągnąłem za cyngiel. Błysnął czerwony ogień, rozległ się huk donośny. Słonka zakreśli łuk i spada ciężko. Jest mi już zupełnie gorąco...

Jak z pod ziemi wyrósł Iwan, który gdzieś krążył w pobliżu. Idzie prosto w kierunku, gdzie spadła słonka. Po paru minutach wyłania się z gąszczów, trzymając ptaka w ręce. Jak on potrafił odnaleźć go w tych ciemnościach bez psa?...

Po pierwszym udanym strzale chybiam parę razy. Wreszcie jednak i drugą słonkę spuszcza na ziemię. Zmrok czyni się tak gęsty, iż trzeba przerwać polowanie.

.....

Znów wieczór przy ognisku, przyciszone rozmowy, różowe nadzieje. Noc spędzam tym razem na bryczce, zdala od ognia. Zakopałem się w sianie, nakryłem dachą. Powietrze jest mroźne, leśnicy jednak wróżą, że rano będzie cieplejszy.

.....

Jeszcze całkiem ciemno, kiedy wyruszamy z Iwanem. Oddzieliliśmy się od towarzystwa, idziemy sami. Teren, który nam tego ranka przypadł w udziale, jest znacznie wygodniejszy, nie tak błotnisty. Nagle Iwan nieruchomieje jak posąg. Długa chwila niepokojącego wyczekiwania.

— Jest!



Leśnik chwytą mię za rękę, podskakuje trzy kroki i staje bez ruchu. Czynie to samo, choć nic nie słyszę. Znów parę kroków — i stajemy. Gdyby nas jakiś profan stołeczny zobaczył, podskakujących i nagle kamieniejących w bezruchu, wzięłby nas niechybnie za warjatów.

Lecz i ja wreszcie słyszę «pieśń» głuszca. Tylko bogata fantazja myśliwska mogła pieśnią mianować te suche i urywane dźwięki. Pieśń składa się z dwóch części: pierwsza, t. zw. klepanie, przypomina stuk deseczki drewnianej; w drugiej, którą zowią szlifowaniem, głuszc jakby posyłał niezdarne pocałunki upragnionej kochance. Zprosta mówiąc, ten piękny ptak najprzód klepie, a potem cmoka. Każdy ma swój system.

Coraz bliżej gra głuszc. Widzę, jak Iwan świdruje wszystkie sosny wyteżonym wzrokiem, usiłując dopatrzeć ptaka. Nic z tego. Mrok jeszcze zbyt gęsty, kontury zlewają się. Nagle pieśń się urywa. Stoimy długą chwilę, jak żona Lota po niebaczym odruchu ciekawości. Tamuję oddech w piersiach. Głuszc, gdy przestaje tokować, jest najostrożniejszym i najprzebieglejszym ptakiem...

Niespodzianie rozlega się przed nami, o jakieś pięćdziesiąt kroków, łopot skrzydeł tak potężny, jakgdyby waliły się sosny. Na ciemnym tle drzew zamaczył cień fantastycznie olbrzymiego ptaka. Składam się błyskawicznie. Ciemno, strzał daleki, niepewny... Zbarczyć króla kniei? To byłaby zbrodnia. Refleksje trwają sekundę. Głuszc znika wśród gałęzi bez strzału...

Moi towarzysze byli szczęśliwsi. Ich głuszce miały lepszy charakter, śpiewały wytrwalej, i można było je wypatrzeć.

Iwan na powrotnej drodze do ogniska filozofuje w swym białorusko-polskim miczmaszu:

— Głuchar, pane, ładna ptaszka! No trudno jeju dostać!

Prosto z toków ruszamy bryczką do Porochońska. Po dwóch nocach, spędzonych w kniei, droga wydaje się jeszcze bardziej uciążliwa. Tylko nasza towarzysza jest wypoczęta, różowa, a wyboje i klawisze grobli poleskiej znosi tak, jakgdyby jechała elektrycznym samochodem przez las Buloński. Nie pozwala też nam zatrzymywać się w Porochońsku. Z bryczki przesiadamy się od razu na łódki. Przystań w parku o paręset kroków od dworu. Zmienia się dekoracja, zmieniają się statysci. Teraz każdy myśliwy dostaje na swe usługi rybaka, który kieruje łodzią i polowaniem.

Krótkim kanałem wypływamy na leniwe nurty Bobrika, który rozlewa szeroko swe wody na okoliczne łąki i rozłogi. Przed nami nieskończona płaszczyna; z poza szklących się sino-błękitnym blaskiem wód, wychylają się wdali gęste kępy łóz, często obramowane oczeretami; tu i ówdzie wynurzają się czuby traw, lub żółcą kaczeńce.

Kilku Poleszuków kosi z łódek wodorosty. Tak się odbywa w tym dziwnym kraju «robotą w polu». Na tle srebrno-popielatych obłoków, które ciężkimi zwalami opuszczają się wdali ku wodom, te wyprostowane, siwe postaci z kosami

w dłoniach stanowią obraz niezwykle w swej prostocie i melancholji. Niezmierzona ciszę przerywa tylko żalosna skarga czajek, krążących w powietrzu, i kwakania podrywających się na znaczną odległość kaczek.

Podnosi się ich coraz więcej. Z początku przeważają cyranki, potem gęściej — krzyżówki. Ale przytem zdarzają się różne inne specymeny, niezwykle upierzone. Rwą się jednak tak daleko, że trudno myśleć o strzale.

Wjeżdżamy wreszcie w łozy. Kwakania i ciężki łopot skrzydeł stają się częstsze. Już z każdej łódki zaczynają grać dubeltówki, czasem widać, jak trafiona kaczka zwija się w powietrzu i dużym łukiem spada na łeb w wodę. Wszystko to jednak strzały dalekie i raczej przypadkowe...

Po czterech godzinach ciasnymi przesmykami wśród łoż wypływamy wreszcie na jezioro Choleczę. Przed nami, o dziwo, w tej pustce — mały domek drewniany. Słychać głosy ludzkie, ku niebu wznosi się ciemny dym.

Wyskakujemy na ląd. Ach, ten ląd! Cała wysepka ma jakieś dziesięć metrów długości, może pięć szerokości. Wierzchołek góry Ararat podczas potopu! Na tej przestrzeni wznosi się drewniany kureń, niczem chała baby Jagi. W szalasie, pośrodku, z cegieł umocnione ognisko. Dokoła szparami świecących ścian prycze, skąpo sianem wystłane. W dachu, nad ogniskiem, ogromny otwór, przez który dym wychodzi. Zostaje dymu w kureniu jednak dość na naszych oczu utrapienie. Przy otworze na dachu zdziczały, czarny kot, o nieprawdopodobnie poszarpanych kudłach, grzeje się w dymie. Pyszny «wik» hr. Potockiego wpatruje się weń uporczywie, skomląc od czasu do czasu z niezaspokojonych pożądań. Kaczki-krikuchy, które mają nam wabić dzikie kaczory, kwaczą wrzaskliwie. Wyżlica p. Lasockiego ujawnia coraz wyraźniejsze symptomy przedporodowych niepokojów. Wśród porozstawianych neserów i tobołków, pośród arsenału najróżnorodniejszej broni kręą się nieustannie myśliwi płci obojga, służba i rybacy.

.....

Słońce zaczyna chylić się wniżej, z małej przystani odrywają się wąskie łódeczki, suną w różnych kierunkach po jeziorze, giną w gąszczach łoż i oczerętów. Mój kajak posuwa się cicho. Czasem tylko pluśnie lekko woda pod wiosłem. Płyniemy kilka wiorst. Na zachodzie niebo zapala się rumieńcami. Głęboką ciszę przerywa daleki i swarliwy lament żórawi, jeszcze dalej tokuje uporczywie na bagnach cietrzew. Kaczki wciąż zrywają się z hałasem i kwakaniem, ale na znaczną odległość. Mój rybak wybiera wreszcie teren. Z zamkniętego koszyka dobywa kaczkę-krikuchę, wbija palik w płytkim miejscu i wrzuca, przywiązaną za nogę na długim sznurku do palika, krikuchę do wody. Poczem łódź nasza wrzyna się głęboko w łożynę, o trzydzieści kroków od palika.

Krikucha głosem kwakaniem wyraża swą radość. Roztwiera skrzydła, zanurza się w wodzie, próbuje daremnie popłynąć dalej... Rychło godzi się z losem, i nagle ogarnia ją szal. Poczyna wrzeszczeć przeraźliwie. W kwakaniu jej brzmią jakieś dźwięki rozpaczliwej, brutalnej, nienasyconej zmysłowości. Jeszcze chwil parę, a w okolicznych łożach i oczeretach dają się rozróżnić jakieś ledwo dosły-



szalne szelesty, niepokoje. O dwieście kroków górą przeleciał kaczor — i nie wrócił. Lecz oto z kępy naprzeciwko z szumem i pompą szoruje po wodzie drugi. Wypiął dumnie szmaragdową szyję, skrzydła połyskują ciemnym szafirem, sunie z animuszem świetnym i wspaniałym prosto ku drącej się samicy. Nagle zatrzymał się, jakgdyby przeczuł niebezpieczeństwo. Poderwał się ciężko, wzniósł się wgórze, zrobił kilka kół i nagle spuszcza się lekkim lotem ku zalotnicy, która zamilkła w wyczekującym pożądaniu. Złożyłem się. Huknął strzał. Kaczor zwinął się i spada niemal na zdrajczynię. Gdzież jego świetność i pompa! Leży na wodzie, białym brzuchem dogóry, drgając złotymi łapami. Krikucha odwraca się odeń z pogardą, odpływa jak najdalej z nietajonym wstrętem. Dokoła znów cisza, jakby zgrozą po dokonaniem morderstwa tchnąca.

Mija kilka minut, życie poszło dalej, już zapomniano o katastrofie. Znów odzywa się lament żórawi, i cietrzew głupi swój bełkot zaczyna. Krikucha drze się pijanym, zmysłowym wrzaskiem. Dwa kaczozy pojawiają się na szarzącym tle nieba, zbliżają się, znów strzały, znów ciężkie ptaki spadają bezwładnie na wodę...

.....

Już zupełnie ciemno, gdy, zebrawszy łup, kierujemy się ku ostrogowi. Chłód wieczorny dojmuje. Zsunąłem się z ławeczki, otuliłem w pelerynę i leżę w dziobie łódki, wpatrzony w gwiazdy. Teraz głębokiej ciszy żaden dźwięk nie płoszy. Nawet żaby umilkły. Płyniemy godzinę, dłużej. Tylko wiosło czasem pluśnie zlekka...

— Daleko jeszcze? — Rybak zaczyna w białoruskim narzeczu tłumaczyć, że nowe korytarze w łozinach wycięto, i wskutek tego zmylił drogę. Teraz już całkiem połapać się nie może, w którą stronę płyniemy.

— Dajcie, «barin», fuzję!

Podaję mu dubeltówkę, on wsparł się na wiosło, przytknął lufę do ust, i po rozległych, nieskończonych wodach i łozinach poszedł głos żaloszny, jęklivy. Odjął usta, nabrał oddechu i znów zatrąbił. Czekamy w milczeniu. Parę długich chwil mija, aż wdali, na prawo, odzywa się takie samo trąbicenie.

— Wot i oni! — stwierdza spokojnie rybak.

Zwraca mi broń, chwytą za wiosło, łódka mknie szybko. Trąbicenie z ostroga nie ustaje. To Kamil Mackiewicz dmie w lufę całą mocą swych płuc. Już nawet rozpoznaję kunsztowne fioritury, które urozmaica swoje sygnały ten utalentowany wojski nowoczesny. Po kwadransie, hen, za łozami, postrzegamy delikatny odbłask ognia. I wreszcie wydostajemy się na Cholczę. Drewniane ściany kurenia wydają się gęstym abażurem, poprzez który przeziera czerwone światło. Na przystani płoną łuczywa, zapalone na naszą intencję. W jaskrawym ogniu widać czarne sylwety wyczekujących postaci. Huknęły radosne okrzyki z łodzi, odpowiedział głośniejszy chór z przed kurenia. Suniemy ku czarodziejskiej w mroku nocnym wysepce, za chwilę łódka wbija się dziobem w piasek... Królestwo za kieliszek wódki!... Śliczne panie stawiają całą butelkę... Jakaś ryba, świeżutko wyciągnięta z jeziora, ciska się na patelni... Życie jest piękne...

„KTÓŻ ZBADAŁ PUSZCZ LITEWSKICH PRZEPASTNE KRAINY?...”



POLOWANIE na wilki! W starej puszczy litewskiej! Któremuż z myśliwych nie zabiłoby żywiej serce? Telegram z Nowogródka. Jedziemy.

W drodze fantazja snuje powabne obrazy. W haszczach sadzią osrebrzonych świecą zielone ognie niesamowitych ślepi. Stoję z bronią w ręku, skamieniały. Nagle wysuwają się z gęstwy wielkie bestje. Dwa strzały. Oba wilki krwawią śnieg, wijąc się w przedśmiertnych konwulsjach. Jeden zawył przeraźliwie, aż las zadrżał z bezmiernego lęku. Jeszcze coup de grâce. Ogromne cielska leżą bez ruchu...

Fantazja myśliwska roi powabne obrazy...

.....

Po nocy, spędzonej w wagonie, koło trzeciej po południu wysiadamy w Nowojelni, małej stacyjce na linii, łączącej Baranowicze z Wilnem. Za chwilę mkniemy samochodem górzystą szosą, która wspina się białą wstęgą wśród lasów jodłowych i rozległych, śniegiem zasypanych płaskowzgórzy, ku Nowogródkowi. Dwa-dzieścia parę kilometrów. Jeszcze za dnia jesteśmy w starym grodzie Mendoga. Mamy czas zwiedzić ruiny odwiecznego zamku i odbudowywany, dzięki niespożytej energii ks. dziekana, kościół farny, w którym, jak głosi podanie, Władysław Jagiełło miał brać ślub z Sonką. Oglądamy w kościele dominikanów metrykę Adama Mickiewicza i domek, w którym spędził pierwsze lata dzieciństwa, meczet drewniany. Z minaretu jeszcze dziś senny mułła nawołuje wiernych Lipków do modlitwy.

Nowogródek jest siedzibą województwa. Wybór podyktowany był chyba raczej sentymentem, niż praktycznymi względami. Wąskotorowa kolejka, którą zostawili Niemcy, działa niesprawnie. Brak normalnego połączenia kolejowego daje się odczuwać dotkliwie. W małym, odciętem od świata miasteczku niema odpowiednich pomieszczeń dla wojewódzkich urzędów.

Energja p. Raczkiewicza, pierwszego wojewody nowogrodzkiego, i jego zastępcy, p. Krupskiego, sprawiła, iż w ciągu kilku miesięcy zamieniono jeden ze starych klasztorów na dobrze obmyślony gmach biurowy. Gorzej z mieszkaniami dla urzędników. Kto się wogóle zetknie z warunkami bytu naszych władz na kresach, ten nabrać musi szacunku i podziwu dla tamtejszego urzędnictwa polskiego. Twarde życie! Bez różnicy rangi! Drożyzna równa warszawskiej, pensje niższe. Urzędnicy kresowi muszą rezygnować z najpierwotniejszych wymagań kulturalnych. Gnieźdzą się po brudnych, żydowskich zajazdach, śpią w sieniach i bezokiennych norach. Sam wojewoda nowogrodzki zamieszkuje mały domek drewniany — azyl ubogiego emeryta, o niskich, ciasnych pokojach, z których tylko wykwintna, artystyczna dłoń kobieca mogła uczynić home miły i zaciszny.

Starosta w Baranowiczach, który na powrotnej drodze gościł nas uprzejmie przez kilka godzin, w jednym szczupłym pokoiku łączy salon, gabinet i sypialnię, a wąskie łóżko polowe świadczy wymownie o spartańskich obyczajach.

Z temi warunkami niełatwo godzą się urzędnicy, pochodzący z Warszawy i dzielnic zachodnich...

Tutaj, na kresach, najlepszym materiałem urzędniczym jest żywioł miejscowy, obywatel kresowy, znający skomplikowane miejscowe stosunki, nawykły do nich, przywiązany do rodzinnych okolic, może cokolwiek w myśleniu powolny, ale uspołeczniony i z powagą traktujący trudne obowiązki.

.....

Nazajutrz do dnia samochodami ruszamy do Szczorców, wspaniałej rezydencji Chreptowiczów. Z wielkiego pałacu zostały tylko okaleczone mury. Znalazł się on między frontem rosyjskim a niemieckim. Baterje moskiewskie rozwalily magnacką budowlę.

Śpieszna przekąska. Podwórzec już natłoczony saniami. Trąbka dzwoni wsianego. Dubeltówki, sztucery i karabiny z futerałów! Zgiełk, wrzawa, nawoływania. Prędej! prędej!

.....

Jeszcze śniegi spowite w szarą mgłę poranną, gdy na szeroki gościniec litewski wysuwa się długi sznur sań. Od wschodu lekko różowi się niebo. Mróz tęgi. Może 15, może 20 stopni. Przed nami krajobraz rozległy i jednostajny. Lekko sfalowana równina, śniegiem pokryta. Niewyraźnie rysują się kontury jakiejś wioski dalekiej. Rzadkie drzewa znaczą ślad traktu, z którego zresztą rychło zbaczamy na łąki zamarłe, w innej porze zapewne nie do przebycia. Lecz oto wyłania się czerwona kula słońca, rośnie w oczach. Niebo błękitnieje. I wszystko wokół zamienia się w cudowny wedgewood, w radosną kombinację dwóch kolorów, białego i niebieskiego. Czerwień słońca rozplywa się w blaskach, śnieg zaczyna świecić gęstym haftem diamentów. Na krótko, bo w bladych mgłach rychło gaśnie ogień słonecznych promieni.



Karl Mäkelä 1927

Trzęskie ługi przecina droga, z pali drewnianych zbudowana, niby most, ciągnący się przez dziesiątki wiorst. To pamiątka po Niemcach. Na tych bagnach toczyła się zacięta walka między wojskami rosyjskimi a niemieckimi. Gdzie tylko wyżyna, sterczą druty kolczaste, rowy i szanice. Niemen dzielił nieprzyjacielskie armje.

Mija dobra godzina, docieramy wreszcie nad rzekę. Przemykamy po łodzi, mijamy wioski zamarłe; wątlý dym z kominów ledwie o utajonem życiu świadczy. Coraz bliżej szafirowe linje boru. Te lasy przed nami, to puszcza Nalibocka, ta sama puszcza, w której ongi ksiądz Robak celnym strzałem życie ostatniego z Sopliców ratował, w której stary Wojski chwytal «na taśmie przypięty róg bawoli, dlugi, centkowany, kręty» i łowów «historję krótką» rapso-dem dźwięków cudownych znaczył...

Zatrzymujemy się w leśniczówce, by odebrać raporty gajowych i rozgrzać się cokolwiek. Mimo sutych futer i filców, zdradziecki ziąb dotarł do kończyn, i ten, i ów myśliwy zaczyna wykonywać dziwaczne ruchy, ni to «gig» angielski, ni ćwiczenia gimnastyczne. Przypatrują nam się w milczeniu, ze spokojną ciekawością, poważne twarze mieszkańców sadyby. Duże czapy baranie, krótkie kożuchy, nogi w starannie owiniętych onuczkach. Ci leśni obywatele nie dają się łatwo wciągnąć do rozmowy. Nie rozumieją — może nie chcą rozumieć — zadawanych im pytań. Po głębszym namyśle zwykle odpowiadają: — Nie znaju, pane. — Gdy rejestrowano ich narodowość, niepodobna było uzyskać wyraźnego zeznania. — Jesteście Polacy? — Ne, pane. — Więc Rosjanie? — Ne, pane. — Zatem Białorusini? — Ne, pane. — Zniecierpliwiony starosta woła: — Więc czemu, u diabła, jesteście? — Nie znam, pane. My zdiesznyje!

Dusze proste, pierwotne, w niewoli wzrosłe, nieufności życiem nauczone. Chcą żyć w spokoju i Boga chwalić po swojemu. Wiedzą jednak, że ten spokój może im dać tylko rząd mocny i trwały. Jeśli wobec władz polskich chłop białoruski zachowuje rezerwę, to głównie dlatego, że nie jest pewny, czy «tamten» nie wróci i mścić się nie będzie. Charakterystyczny szczegół. Branka rekruta wywiera na Białorusi jak najlepsze wrażenie. Po wsiach mówią: — Biorą rekruta, znaczy, jest rząd. Jest «hosudarstwo». I młodzież białoruska idzie chętnie do szeregów.

.....

Jesteśmy już w głębi «borów i podszytej kniei». Wokół nas «wał pniów, kłód, korzeni, obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni i siecią zielsk zarosłych». Leśniczy pochyla się często i nabożnym gestem wskazuje świeże tropy wilków. Jeszcze ciepłe!

.....

Idziemy zamarzłym kanałem, o dość wysokich i stromych bokach. Prowadzi on do Niemna. Skupione milczenie. Co dwieście kroków nadleśny daje ręką znak: jeden z myśliwych odrywa się i zostaje na stanowisku.



Przypadła kolej na mnie. Duża polana, okolona z dwóch stron wysokopiennym lasem, z lewej — gęste haszcze. Polana musi być w lecie błotnista: świadczą o tem wysokie trzciny, teraz srebrną sadią obleczone. Za mną — rzadkie, pokurczone sosny na bajorach, wdali ciemny pas boru. Na takich pustkach wiosną głuszcę swą pieśń miłosną tokuje, koguty cietrzewie szarpią sobie pióra w zaciętych turniejach; tutaj łos samotny pasł się chętnie. Na tym samym kanale, na którym wyznaczone mam stanowisko, jeszcze przed wojną bobry budowały swoje nadwodne pałace. Korpusy syberyjskie, które w puszczy Nalibockiej przez dłuższy czas napór niemiecki wstrzymywały, wyniszczyły i bobry, i łosie.

Zostałem sam. Mróz ściska coraz mocniej. Siekący lodowatym zimnem wiatr hula po polanie. Wybuchają piekielnym łoskotem, niby tysiące pędzących wozów ładownych, przyczają się, odetchnie poważnym, senatorskim poszumem wysokiego boru i znów wściekłym zawyję jazgotem. Jakies szloch i chichoty szatańskie, zawodzenia, jęklive wołania... Chłodny dreszcz sięga szpiku kości. Mijają długie kwadranse... Zmęczenie, napięcie nerwów, mróz i tchnąca zgrozą i tajemnicą muzyka puszczy — wywołują zamęt w mózgu i w wyobraźni. W trzcinach poczynają mi się snuć jakieś cienie. Nie jest-że

to wszystko senną zjawą, gorączkowym złudzeniem? Zrobiłem parę kroków po lodzie. Wraca przytomność. Wiatr niesie jakieś stłumione, ledwie dosłyszalne echa... Może znowu się mylę?... Nie. Słychać wyraźniej. Naganka ruszyła. Broń drgnęła w marznących rękach. Bezwiednie sprawdzam, czy naboje są w lufach. Oczy wpijają się w trzciny i trawy. Polana pusta i martwa. Gdy wiatr cichnie, dalekie pokrzyki nagania czy zlewają się w dziwną, żalostną melodię, niosą się niby echa rozklekotanych organów. W tej puszczy litewskiej nawet wołania naganek stają się motywem muzycznym...

Wtem chorał leśny zamienia się we wrzask przeraźliwy. Nagła iskra zapaliła krew. Może spełni się marzenie myśliwskie! Lecz gwałtowny pogwar milknie w odgłosach zawodów i złorzeczeń. Polana pusta i martwa.

Wilk wymyka się zwykle flankiem. To były niechybnie dziki, które poszły przez naganę.

Tak było istotnie. A było ich szesnaście...

Powrót na nocleg do Szczorców. Wesoły obiad myśliwski, generalna spowiedź wrażeń i przygód, wartki potok anegdot. Ze szczególną uwagą słuchamy opowieści łowieckich p. Narutowicza, ministra robót publicznych. Któż z nas przewidywał wtedy jego wybór na Prezydenta Rzeczypospolitej, tragiczny zgon?

Ś. p. Narutowicz był znakomitym myśliwym, który na obu półkulach święcił rzadkie triumfy. Gdzie ten człowiek nie polował! Celował zwłaszcza w strzałach kulowych. Miał świetny zbiór precyzyjnej broni i strzelał kozice na stokach alpejskich z nieprawdopodobnych odległości. Zaś w kompanii myśliwskiej był towarzyszem nieocenionym. Europejczyk w każdym calu, przy wysokiej kulturze umysłowej i niezwyklej ogładzie salonowej, zachował gest i rozmach szlachcica polskiego z Litwy.

Butelki z wódką krążą przy stole, zamróz zwolna wychodzi z kości. Mimo znużenia i zawodów, humory czynią się doskonałe. Posypały się toasty prozą i wierszem. Myśliwy jest urodzonym optymistą. Żyje zawsze nadzieją dnia jutrzejszego.

Jaka rozkosz po tym ciężkim dniu wyciągnąć się na łóżku polowem!

Zła dola prześladowuje nas jednak i nazajutrz. Otropione wilki, mimo licznej naganki, znów wyprowadzają się z miotu bez strzału. Słusznie przestrzegano mię w Warszawie: dowiedz się, czy tam mają sznury z chorągiewkami. Bez sznurów polowanie na wilki staje się loterią: wyjście zwierza na strzał jest równie rzadkie, jak wygrana głównego losu.

Sznurów z chorągiewkami tutaj nie posiadają... W ciągu dnia pada parę kozłów, kilka wspaniałej wielkości lisów, dziesiątek zajęcy szarych i białych. Na dziki, mimo licznych śladów, trafić nie możemy.

Po południu mróz zelżał. Prószy lekki śnieg. Stoję w wysokim lesie jodłowym. Wyniosłe pnie szlachetnych drzew zlewają się w dziwnie harmonijną kolumnadę, która zdaje się niknąć w białej mgle. Las wydaje się olbrzymią, preczystych kształtów, gotycką katedrą, a złudzenie potęguje daleka muzyka naganki o jęklivych, organowych dźwiękach...

Zdaleka widzę czerwonego lisa, z długą kitą; przemyka się ostrożnie wśród drzew, zniknął w krzakach. Parę białych zajęcy — mniejszych znacznie od naszych szaraków — miga w znacznej odległości, niby białe cienie na białym tle śniegu. Tu i ówdzie strzały. Zrezygnowano z grubej zwierzyny. Ostatni zakład! Już nikt nie stosuje się do hasła: pierwszy strzał do wilka lub dzika...

Gajowi namawiają, by pozostać jeszcze jeden dzień w puszczy. Wilków jest sporo. Lecz, by je na strzał dostać, trzeba wytrwałości i cierpliwości. A przede wszystkim szczęśliwego przypadku.

Towarzysz nasz, rotmistrz Święcicki, jadąc przed paru tygodniami bryczką, na drodze leśnej zoczył ogromnego wilka. Basior stał, ponury wzrok w stronę bryczki wpijając. Woźnica zatrzymał konie, rotmistrz zdjął «Manlichera» z ramienia i celnym strzałem dziką bestję na miejscu rulował. Zaś nocami po tych samych rewirach, które wydają się w dzień martwe i puste, odbywa się wściekły sabat zgłodniałych drapieżników. Strwożone kozy przebiegają las w szalonym galopie, jedne wilki gonią je, inne zabiegają im przemyślnie drogę. Rozpaczliwy bek idzie żalobnem echem po puszczy: to wilkom udało się chwycić ofiarę!

Daremne pokusy. Większość warszawskich myśliwych musi wracać. Jutro zresztą w Nowogrodzku lokalna uroczystość. Obiecaliśmy wziąć w niej udział. Namowom ulega wszakże dwóch majorów. Zostają w puszczy. Jednego z nich nazajutrz szczęśliwy los dubletem do wilczycy i wilka wynagrodził.

NA GŁUSZCACH W BIAŁOWIEŻY



P STANISŁAW JANICKI, minister rolnictwa i dóbr państwowych, zaprosił małe grono myśliwych do Białowieży na wiosenne toki głuszców i cietrzewi. Na liście zaproszonych znaleźli się: p. Arnstedt, pełnomocny minister duński, kap. Moore, amerykański attaché wojskowy, pp. Stanisław Lilpop, Korsak, autor «Roku myśliwego», Miklaszewski, dyrektor Departamentu Leśnego, J. Ejsmond, znany poeta, redaktor «Przeglądu Myśliwskiego», Stanisław Janicki jr. i ja. W trzech samochodach szybko i wygodnie przebyliśmy drogę.

Zwiedziłem już raz puszcę Białowieską przed piętnastu laty, za czasów niewoli rosyjskiej. Zdaleka wówczas tylko widziałem pałac cesarski. Teraz rozwarły się przed nami bramy, mnie w udziale przypadła dawna sypialnia cesarzowej. Z szerokiego tarasu mam wspaniałą widok na rzekę, która wiję się wstęgą wśród ciemnych świerków.

Sam pałac — brzydki Jagdschloss w złym smaku niemieckim — nie przedstawia nic ciekawego. Meble cesarskie przy ewakuacji wywieziono. Boazerje szpetne. Gdy cesarz Aleksander III ujrzał ten gmach, miał się wyrazić lapidarnie:

— Naplewał!

I ku konsternacji dworaków zamieszkał w drewnianym domku, który do dziś dnia stoi opodal. Jego synowa, jako rodowita Niemka, lepiej się czuła w obszernych pokojach, równie higienicznych, jak niemiłych. Piękny jest jedynie, przed podjazdem, bukiet szanownych starością dębów. Niektóre z nich liczą po kilkaset lat. Życzę wszystkim moim kolegom, aby doczekali sędziwego wieku w takiej tężyźnie.

.....

— Jak wygląda puszcza po perypetjach wojennych?

Przebyła dwie niebezpieczne inwazje: Niemców i kornika, nie licząc już wadliwej w początkach administracji polskiej i zachłanności spekulantów drzewnych.

Na skrajach i przy szosie, która puszcę nawskróś przecina, pozostały ślady rabunkowej gospodarki niemieckiej. Sterczą smętnie poczerńiałe karpiny — mogiły zrąbanych olbrzymów. Tu i ówdzie świecą łysiny rozleglejszych cmentarzysk. W głąb puszczy wrzynają się ostrem pchnięciem linie wąskotorowych kolejek, służących do przewozu drzewa. Tajemniczą ciszę wielkich lasów zakłóca gwizd lokomotywek, stuk wagonów. Żubr wyginał doszczętnie. Z dwudziestu pięciu tysięcy jeleni została ledwie setka. Z dziesięciu tysięcy danieli — kilkanaście sztuk. Ale mimo wszystko puszcza zachowała swoją powagę i majestat. Trzeba się tylko posunąć w głąb. Ogrom leśny obejmuje cię potężnymi ramionami. Mówisz bezwiednie ciszej. Głośniejszy śmiech utyka w krtani. Podobnych wrażeń doznaje się w starej katedrze gotyckiej, o wysokich, wąskich oknach, które sączą poprzez barwne witraże skąpe światło. I tu, w puszczy, panuje wieczny półmrok, modlitwę szepcą strumyki, na chórach śpiewają ptacy...

P. Miklaszewski zapewnia, iż kornik, który groził zniszczeniem całej puszczy, już został całkowicie opanowany. Administracja uporządkowana. Zarząd leśnictwem białowieskim objęli ludzie energiczni, fachowi i doświadczeni. Umowa z przedsiębiorcami angielskimi nie wydaje się być groźna. Eksploatacja, pod ścisłą kontrolą władz polskich, jest prowadzona racjonalnie. Puszcza białowieska nie może być tylko muzealnym zabytkiem, jedynym w swoim rodzaju w Europie specymenem dziewiczego lasu. Musi być dla skarbu Rzeczypospolitej źródłem dochodów.

.....

Koło dziesiątej wieczorem pod pałac zajeżdżają samochody. Białe ślepiec latarni rzucają jasną smugę światła na szosę, obramowaną kolumnami świerków i sosen. W Hajnówce wsiadamy do wagoników. Kolejno, na małych stacyjkach, wylądowują myśliwi. Przy rozpalonych ogniskach oczekują na nich leśnicy. Przyszła na mnie kolej. Towarzystwem moim jest Julian Ejsmond. Wskoczyliśmy z wagonu, który pomknął wnet dalej. Mrok jest tak gęsty, że na krok nic nie widać. Niedaleko połyskuje czerwony punkt ogniska. Kierujemy się ostrożnie w tę stronę, prowadzeni przez leśniczego, p. Węgrzynka. Zwolna oczy przyzwyczajają się do ciemności, zaczynamy rozróżniać kontury drzew. Przy ogniu dwie ciemne sylwety. To leśnicy, którzy będą nas prowadzić. Moim aniołem stróżem będzie Szerszułowicz, zgrabny Mazur o płowych wąsach. Pochodzi z kurpiowskiej rodziny, osiadłej w puszczy jeszcze za czasów Stanisława Augusta.

Dopiero północ. Mamy przed sobą dwie godziny czasu. Zasiadliśmy na zwalach wokół ogniska. Z przodu prażą płomienie, z tyłu dojmujący wilgotny chłód leśny. W czerwonych odbłaskach rysują się lekko strzeliste pnie świerków. Lecz zaraz dalej gęsty, tajemniczy mrok. Przez ciemny szafir nieba przezierają blade gwiazdy. Cisza głęboka, niewysłowiona cisza, którą czasem tylko przerwie jękiły krzyk puszczyka.

Rozpoczyna się półgłówna gawęda myśliwska. Każdy dorzuca jakieś wspomnienia, obserwacje, przeżyte wrażenia. Mamy w naszym rewirze ustalone na wieczornych zapadach trzy głuszcze. Znakomicie! Leśnicy dokładają grubych gałęzi.



1927

Krąży manierka z wódką. Trzeba się rozgrzać i od wnętrza, by unieruchomić zimny dreszcz, który niekiedy przebiega po plecach. A może ów dreszcz wywołuje także uczucie niepewności, obawa przed niezręcznością, która mogłaby spłoszyć najostrożniejszego z ptaków — lęk przed «pudłem»?...

.....

...Leśniczy podniósł się cicho, ręką dał znak. Wstaliśmy. Obejrzałem uważnie naboje, by nie pomylić się co do grubości śrutu, nabiłem dubeltówkę. Leśnik podał mi wysoką łaskę, wystruganą z młodej brzoźki. W milczeniu wąską drożyną ruszamy gęsiego w głąb lasu. Co chwila woda pluśnie pod butem. Długa kładka z trzech sosen niedbale sklecona. Łaska lgnie w bagnie, jak w maśle. Niedobrze byłoby wpaść w to trzęsawisko. Ale nie pora na wahania. Leśnicy idą spokojnie i lekko, jak po gładkiej posadzce. Nie daj, Boże, zginać marnie w tym bajorze! Już grunt twardszy. Wiktorja! Po tej próbie będę mógł chodzić po linie!

Teraz nawet chrząknąć nie wolno. Porozumiewamy się gestami. Wszystkich ogarnia religijne niemal skupienie. Zatrzymujemy się na skrzyżowaniu dwóch ścieżyn. Leśnicy zmienili się w słuch. Oczy o tyle oswoiły się z ciemnością, że widzę ich poważne, jakby rozmodlone twarze. Od wschodniej strony widnokrąg zaczyna cokolwiek szarzeć. Leciutki, chłodny wietrzyk wciska się za kożuch. Jakże chętnie zapaliłbym papierosa! Nie wolno...

Wśród głuchoj ciszy ozwał się delikatny pogwizd jakiegoś małego ptaszka. Bardzo daleko zabeczał kozioł. Ozwały się żórawie. Naprzód pojedynczo. Potem jęły lamentować kłótliwie. Zachrapała słonka. Ponad drzewami dostrzegłem czarny, szybko niknący punkcik. Głuszca nie słyhać.

Wtem jeden z leśników poruszył się. Skinął na Ejsmonda, wziął go za rękę — zniknęli w mroku. Mój leśnik w dalszym ciągu poważny, wsłuchany w muzykę puszczy, nieruchomy. Lecz oto i jemu zaświeciły oczy, lica spogodniały, ledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po wargach. Dotknął twardą dłońią mego ramienia. Idziemy. Pan Węgrzynek zostaje na rozstaju.

Kroczymy uważnie i cicho. Słyszę coraz wydatniejszy szczebiot ptactwa, lament żórawi, chrapanie słonek — tokowania głuszca nie słyszę. Nagle leśnik zatrzymał mię, wziął silnie pod rękę. Stoimy przez kilkanaście sekund, jak skamieniali. Wśród zmaconych dźwięków budzącego się dnia rozróżniam wreszcie ledwo dosłyszalne klaskanie głuszca.

Teraz zaczyna się właściwie podchodzenie. Głuszcę traci słuch tylko podczas drugiej części swego koncertu, t. j. podczas szlifowania. Trwa ta druga część 5 do 6 sekund. Trzeba w tym czasie zrobić parę posuwistych podskoków — i znów w bezruchu czekać na nową serję szlifowania. Nie znam bardziej denerwującego polowania! Jeden nieopatrzny ruch, najmniejszy szelest — może spłoszyć ostrożnego ptaka. Przestrzeń, dzieląca nas od drzewa, na którym zasiadł, wynosi prawdopodobnie koło trzystu kroków. Posuwamy się w gwałtownych, lecz cichych podskokach i nieruchomiejemy znowu jak posągi w najdziwniejszych pozycjach. Błogosławię moje długie po pas buty gumowe. Oto utknąłem w głębokiem

bajorze poza kolana w wodzie. Nogi przytem tak mi się na śliskim dnie rozszczepiły, że lada moment grozi mi upadek. Chlupnę w wodę jak długi, głuszc zniknie w gąszczach! Zimny pot oblał mi czoło. Wysiłkiem woli utrzymuję się na nogach. Jeszcze sekundę, jeszcze dwie! Oddycham! Głuszc zaczął nową pieśń. Za chwilę wyskakuję z wody, stoję na suchej kępie...

Już jesteśmy blisko. Oczy wpatrują się w kępę sosen na rudem mokradle. Stamtąd idzie pieśń. Serce łomocze w piersiach. Nietylko mnie! Zda mi się, że słyszę bicie serca mego leśnika. Rozszerzyły mu się źrenice, zapłonęły. Twarde palce ściskają mocniej moje ramię. Wśród czarnych gałęzi niepodobna nic rozróżnić.

Niebo ciemno-szare. Jest mi teraz gorąco, niemal duszno. Znow cisza. Kogut przerwał śpiew. Parę małych ptaszków świergoce zawzięcie. Nikt ze skrzydlatych mieszkańców puszczy nie podejrzewa, że za chwilę ma się rozegrać tragedia... Posuwamy się jeszcze dwa kroki. Stanęliśmy za dużym chojakiem. Dalej już pójść niepodobna. Strzał byłby za krótki. Trzeba czekać świtu. Język przysechł mi do podniebienia. Tłumię oddech w piersiach w obawie, że ptak usłyszy. O, pasjo myśliwska! Jakichże to wzruszeń dostarczasz!

.....

O paręset kroków od nas huknął strzał. Zapewne mój towarzysz podszedł swego głuszc. Drgnęliśmy obaj z leśnikiem, ścisnąłem kurczowo w rękę dubeltówkę, gotów do strzału, gdyby mój głuszc, spłoszony, porwał się z drzewa. Lecz w gęstwinie czarnych gałęzi nic się nie poruszyło. Puszcza zamilkła ze zgrozy. Cisza wprost nieziemską. Stoję, wpatrzony w sosnę, gdy nagle z tyłu odzywa się głuchy, potężny łopot skrzydeł. Instynktownie odwracam się. Między drzewami, o czterdzieści kroków ode mnie, leci szybko olbrzymi ptak. Strzeliłem błyskawicznie z przyrzutu i odwróciłem się do swej sosny, spodziewając się, że głuszc, który tam siedzi, porwie się również. Nie. Za sobą usłyszałem ciężki łoskot spadającego olbrzyma. Aż ziemia stęknęła. Szybko włożyłem nabój. Jednocześnie leśnik ścisnął mi mocniej ramię. Wskazuje na gałąź, blisko wierzchołka. Coś się poruszyło. Nie jestem w stanie rozróżnić żadnego kształtu. Lecz gałązka znów drgnęła! Zmierzyłem. Huknął strzał. Odcięta gałązka leci wolno nadół. W tej chwili poruszył się wreszcie ukryty w szpilkach choiny kogut. Dostrzegłem go. Bach! Strzał. Jak kamień, spada ptak w bajor. Woda chlusnęła fontanną...

.....

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Znacznie krócej, niż opowiadanie. Oparłem się o drzewo. Jestem oszołomiony. Leśnik zniknął. Machinalnie nabijam broń. Zwolna spokój spływa do serca. Dwa głuszcze! Już niesie oba Szerszunowicz. Twarz jego rozjaśniona uśmiechem cichym i poważnym. Co za olbrzymy! Oparłem fuzję o drzewo, sięgam po ptaki. Szerszunowicz biegnie do krzaka świerczyny, łamie dwie małe gałązki, podchodzi do mnie i uroczyście, z religijnym namaszczeniem wsuwa mi je do kłapy kożucha. Wieńczy mój triumf. A mnie, gdy już ochłodziłem z wrażenia, porywa radość nieokiełznana, pierwotna. Teraz rozumiem murzy-



nów, w szalonych skokach i z dzikim krzykiem tańczących dokoła zabitego zwierza. Biorę leśnika w objęcia i całuję go w oba policzki. On poruszony jest tym gestem, ale niezdziwiony. Obaj znajdujemy się w stanie wielkiego podniecenia. — Pięknie pan strzelił! — mówi Szerszunowicz.

Żadna pochwała z ust najsurowszego krytyka nie była mi nigdy słodsza! Sięgnąłem do manierki. Wychyliłismy po kieliszku wiśniówki. Niech żyje życie!

.....
Tylko dlaczego tę moją radość dwa wspaniałe, szlachetne ptaki musiały okupić śmiercią?

.....

Wagonik kolejki leśnej zbiera wczesnym rankiem wracających z polowania myśliwych. Nie wszystkim los równie fortunnie sprzyjał. Zabili po jednym kogucie pp. St. Lilpop, Korsak i Janicki jr. Inni panowie już to nie doszli do strzału, już nie powiodło się im. Moje dwa głuszce budzą sensację. Powinszowania, uściski dłoni...

St. Lilpop, jeden z najznakomitszych i najdoświadczeńszych myśliwych w kraju, mówi:

— Bardzo to wypadło pomyślnie. Ale w zasadzie popełniłeś nieostrożność. Mając przed sobą głuszca na drzewie, bardzo niebezpiecznie było strzelać do przelatującego. Mogłeś łatwo w półmroku chybić, a kogut na drzewie mógł spłoszyć się — i wróciłbyś z niczem.

Jakgdybym słyszał mądre uwagi weyssenhoffowskiego — pana Liebego z «Sobola i panny»!...

Prawda! Lecz gdybym nie zaryzykował strzału w lot, nie miałbym dwóch głuszców na rozkładzie!

Ejsmond już ułożył bajkę, w której dowcipkuje na temat moich kogutów.

Podniesioną zostaje wątpliwość, czy to nie była rozmyślna owacja ze strony królewskich ptaków dla autora «Głuszca»...

O, ludzie!

.....

Trochę dorywczego snu, długie łowieckie rozmowy podczas obiadu. Przy stole zasiedli wszyscy myśliwi i główniejsi urzędnicy miejscowego zarządu.

Opowiadają interesujące szczegóły o słynnym z ostatniej wojny gen. Bałachowiczu, który mieszka z garścią swych dawnych kozaków w Białowieży. Trudni się teraz przewozem drzewa. Wśród swych towarzyszków cieszy się wielkim autorytetem. Jest dla nich ostateczną wyrocznią.

Zdarzyło się, że kilku z tych kozaków grało między sobą w karty i jednego z kolegów tak zgrali, że zabrali mu wszystkie pieniądze, jakie posiadał. Chciał się odgrywać, więc postawił na kartę ubranie i buty, które miał na sobie. Przegrał. Kochani koledzy rozebrali go i puścili nago na ulice Białowieży. Tam spotkał go policjant i, nie roztrząsając, czy nagość kozaka była lub nie była natury artystycznej, zaprowadził do aresztu. Zjawił się wnet gen. Bałachowicz.

— Oddajcie mi chłopca. Już ja tę sprawę rozpatrzę i winnych ukarzę.

— Dobrze.

I oto sąd.

— Zgraliście bez miłosierdzia kolegę i puściliście nago — oświadczył generał — każdy z was dostanie 25 nahajek, a bić będzie zgrany.

Kozacy położyli się posłusznie, niefortunny gracz wrzepił każdemu sumiennie i z precyzją wyznaczoną porcję razów.

— Teraz ty, bratku — powiada do niego po egzekucji generał — połóż się na tem samem miejscu. Żeś był głupi i dał się zgrać tak haniebnie, otrzymasz ode mnie 50 nahajek.

Kozak poddał się karze bez szemrania.

— «Dawolny?» — spytał teraz wszystkich Bałachowicz.

— «Toczno tak, wasze prewoschoditelstwo» — odpowiedzieli zgodnym chórem kozacy. I rozeszli się, chwając sprawiedliwość do wódcy...

.....

Wieczorem polujemy na słonki. Ciąg jest dość słaby, pada tylko kilka strzałów. Ja chybiłem do jednej, syn pana ministra zgrabnie dwie spuścił na ziemię.

Po dość śpiesznej kolacji — wyjazd na toki cietrzewi. Paru myśliwych — ci, którzy nie mają jeszcze głuszców na rozkładzie — zostaje. My mamy szukać cietrzewi poza puszczą, koło stacji Narewka. Droga długa i uciążliwa. Znowu samochodami do Hajnówki, stamtąd kolejką przez puszcę, kilka kilometrów drezyną. W dzikim pustkowiu leśnym płonie parę ognisk, opodal czekają bryczki. Teraz przypada najcięższa część wyprawy. Droga przez puszcę okropna, ale ta, która nas czeka poza puszczą, przechodzi wszelkie pojęcia. «Grobelki» i «paliki» poleskie są aleją pół Elizejskich w porównaniu do tego piekielnego traktu, poszarpanego wyrwami, kałużami, podziurawionego jak sito. Noc przytem ciemna, na kilka kroków nic nie widać. Niewiele pomaga latarnia, którą przyświeca na przodzie pieszo idący leśnik. Wózek nasz przechyla się nagle, i po krótkich, rozpaczliwych a daremnych usiłowaniach odzyskania równowagi Lilpop i ja lecimy w gęstą maź czarnego błota. W ręce trzymam kurczowo dubeltówkę, lufy zanurzają się w bagnie.

— Nikt sobie nic nie złamał?

Nie. Więc tylko obrzucamy woźnicę dłuższą litanją wymyślnych przezwisk, wśród których «cymbał» i «dureń» należą do najwykwintniejszych, i ruszamy dalej. Spostrzegam atoli z przerażeniem, że lufy fuzji napęliły się do połowy błotem, które w dojmującym chłodzi nocnym krzepnie w lodową masę...

.....

Już dobrze po drugiej, gdy dojeżdżamy na miejsce przeznaczenia. Od wschodu na widnokręgu zjawiają się bledsze smugi. Pan Korsak pożyczył mi swego drylinga,



prędko rozchodzimy się po budkach. Taka budka, to dół, wykopany w ziemi, a przykryty gałęziami sosnowymi. Bardzo w nim niewygodnie. Usłałem dachę, usiadłem — sen morzy. Druga noc bezsenna. Powieki przymykają się same. Głowa opada na piersi.

Nagle drgnąłem, ręką instynktownie sięgnąłem po dryling. W szarzejącej już ciemności słysząc szelest skrzydeł. Jakies cienie uwijają się nad polaną.

— Ci... szut! Ci... szut! — Z kilku stron naraz odzywają się koguty. Trochę dalej gdacze kura.

— Ko- ko, ko- ko!...

O sto kroków dostrzegam cietrzewia. Drepce dumny, nastroszony — trudno wyrozumieć, zali woła na kochankę, czy też grozi współzawodnikom. Mógłbym strzelić. Nie wolno. Dopiero wpół do czwartej. Pierwszy strzał ma paść o wpół do piątej. Całą godzinę trzeba czekać w tej wilgotnej norze. Oczy znów przymykają się. W północy słyszę coraz częstsze łopoty skrzydeł, coraz namiętniejsze.

— Ci- szut! Ci- szut!

Trzeba czekać.

Wtém z dalszej budki, po przeciwnej stronie polany, huknął strzał. Za nim wnet dwa drugie. Porwałem za broń. Parę dziesiątków czarnych ptaków zerwało się z ugoru, mkną jak wiatr w kierunku puszczy. Strzelać za daleko.

Rozwidnia się. Kilka kogutów przelatuje nad polaną. Trzymają się przezornie w znacznej odległości od budek. Słońce weszło. Wychodzę z mej nory, by rozprostować zesztywniałe w niewygodnej pozycji członki. Zjawia się i pan Korsak, wkrótce reszta myśliwych. Jeden tylko cietrzew padł ofiarą. Wszyscy cokolwiek skwaszeni, zmęczeni. Teraz zgórą cztery godziny okropnej drogi powrotnej. Polowanie ma swoje dolegliwości — i zawody.

.....

Naszym towarzyszom, którzy zostali wierni puszczy, powiodło się lepiej. Niemal każdy wrócił z głuszcem. Ogólna liczba zabitych kogutów sięga ośmiu sztuk. Wynik bardzo pomyślny. Nie uszczupli przytem ogólnego stanu posiadania: według relacji pana Zwolanowskiego, w puszczy Białowieskiej w tym roku gra około 130 kogutów. Samic jest mniej więcej trzy razy tyle.

.....

Mieliśmy polować jeszcze przez jeden ranek. Lecz szare niebo jęło mżyć drobnym kapuśniaczkim, trzeba było zrezygnować z pięknych zamiarów. Po dwóch nocach, spędzonych bezsennie w lesie, łóżko wydało się rajem...

.....

Upolowane ptaki rozłożone zostały na trawniku przed frontonem pałacu. Służba leśna ustawiła się opodal. Myśliwi zgrupowali się koło p. ministra Janickiego.

Według tradycyjnego obyczaju, p. Zwolanowski, łowczy białowieski, składa raport z wyników polowania, wpisanych już do archiwów łowieckich. I wraz

odzywa się fanfara. Trąbią ci sami trębacze, którzy przed wojną światową otrąbywali trofea myśliwskie cesarza Mikołaja II i jego gości. Wygrywają te same hejnały.

Zmierzch zwolna zapada. Nad polaną snuje się lekki, pajęczynowy opar, błękitniejąc pod ścianą puszczy. Dźwięk trąb brzmi dziwnie czysto. W melodji tkwi uroczysta powaga.

Pięknie grają leśnicy białowiescy...

.....

Trzeba wracać do Warszawy. Przed pałac zajęchały samochody. Ładujemy niezliczoną ilość walizek i pudeł, układamy starannie ubite głuszce. Tych parę dni, spędzonych w lesie, wrażenia i wysiłki fizyczne — odświeżyły mię, niemal odmłodziły. Zbliżenie się do przyrody, nawrót do bardziej pierwotnego życia, zapomnienie o codziennych troskach i komplikacjach...

O, puszczo Białowieska! Skarbnico niezrównanych wzruszeń myśliwskich! Czy dane mi będzie jeszcze kiedy wrócić do twych tajemniczych głębi!...

WSCHÓD SŁOŃCA NA CHOLCZY



O UROKU samotności, słodkiej i razem dręczącej melancholji, gdy jedynym towarzystwem stają się własne myśli, wspomnienia, marzenia!.. Bywa, że wspomnienia ściskają i kłują serce żalem, aż piersi wzbierają tłumionym krzykiem bólu. A marzenia nie chcą się jawić, niewiarą w jasne i piękniejsze jutro odgarnione! Wówczas porządkują się myśli, mózg dokonywa okrutnych bilansów, waży nieprzeparte przesłanki, wyciąga nieubłagane wnioski. Stajesz z odkrytą głową przed pogrzebem własnych nadziei i tęsknot, pragnień i pożądań. Masz wrażenie, że spełniło się nieszczęście — spełniło się — i dokonanego faktu już nic nie odmieni. Człowiek za życia tyle razy umiera.

...Wracam z dalekich zakątków jeziora do szalasu. Wąska łódka sunie szybko i cicho, wprawne wiosło Wożuja popychana... Zmierzch zgęstniał tak, że już strzał staje się niepewnym. Kaczki zresztą pochowały się w trawach, zalanych wodą ługów. Zrzadka tylko śmignie jakaś zapóźniona para, szukająca jeszcze noclegu. W łozach przecież trwają tajemnicze gonitwy, aż woda czasem pluśnie niedyskretnie. Jakieś jęklive westchnienia, niesamowite szepty... Odsuwam fuzję, układam się wygodnie na przodzie łódki. Wożuj troskliwie okrywa mię «dachą». Boska

chwilo wieczornego ukojenia, kiedy gwiazdy zaczynają wykluwać się przez ciemny szafir nieba! Dookoła, na dziesiątki i dziesiątki wiorst, tylko woda, ługi zalane i kępy łóz, niekiedy brodatym oczeretem obramowane. Z za chmur wyziera księżyc i smuga żywego srebra znaczą nam drogę...

...Już pali się ogień w szałasie, warzy się herbata w kociołku, Woźuj szykuje myśliwską kolację: chleb, masło, szynka surowa... Tam, w Warszawie, w tej chwili schodzi się publiczność do teatru. Premjera. Powitania, zwierzenia, wymiana przewidywań i plotek, nieszczerých komplementów i fałszywych upewnień. O słodka i razem dręcząca melancholjo samotności!...

.....

Woźuj podesłał mi trochę słomy, sam ułożył się opodał.

— Jakże tam u was w domu? — pytam.

Woźuj objął mię badawczem spojrzeniem, zastanowił się.

— Już lepiej się żyje, pane, bo o wojnie nie mówią, i chleb jest. Tylko mnie z końcem zimy dwa nieszczęścia się zdarzyły...

— Cóż takiego?

— A ot... syn, odchowany, czternaście lat, utonął w rzece, i koń jedyny zdechł... Drugiego nie kupisz...

Rozmowa się urwała. Po chwili Woźuj chrapie miarowo, potężnie. Ja, mimo wielkiego fizycznego znużenia, długo nie mogę zasnąć. Wewnętrzne obrachunki rozkołysały mózg, zaniepokoiły serce, które tłucze się w piersiach nieporządnie, ustawicznie.

Na jeziorze wiatr się zerwał, huczy i świszcz złowrogo. Zimny powiew przedziera się przez szczeliny między brzezunami, z których sklecone są ściany szałasu. Wątpa budowla zda się gąć i chwiać. Nagły niepokój ścisnął serce: jeśli wiatr porwie łódkę, zostaniemy odcięci od stałego lądu. Najbliższy twardy brzeg o osiem, może o dziesięć kilometrów. Przebrnąć przez wodę i trzęsawiska? Tegoby nawet Woźuj nie potrafił. Otwieram ostrożnie drzwi szałasu, skłębione fale chłodnego wiatru chwyciły mię w objęcia, zapierając oddech. Tak jest ciemno, że na trzy kroki nic nie widać. Ostrożnie zbliżam się do brzegu, natykam się na dziób łódki. Jest. Sprawdzam, czy mocno przywiązana do kółka. Mocno. Wcisnęła się przytem dość głęboko w piasek. Wicher jej nie porwie...

A może właśnie byłoby to zabawne: zostać uwięzionym na tej mikroskopijnej, odludnej wysepce! Przygoda niebywała! Trzebaby się żywić własnym przemysłem, wrócić na krótko do najpierwotniejszych kształtów bytowania. Kilka dni upłynęłoby z pewnością, zanim zatroszczonoby się o nas w Porochońsku...

Wicher uderzył z taką siłą, że odepchnął mię o parę kroków od łodzi. Z trudem dochodzę do drzwi, z jeszcze większym — domykam je. Woźuj mamroce coś napół przytomny. Kładę się na słomie, otulam w dachę. Za chwilę sen ujął mię ciężką garścią. Niedługie wywczasy. Oto już ręka Woźuja spoczęła na mem ramieniu.

— Pora, pane!



Skoczyłem na równe nogi, zamroczony.

— Która godzina?

— Wpół do drugiej. Zaraz będzie świtało.

W parę minut wszystko gotowe. Wiatr uspokoił się. Noc jeszcze ciemna. Wyjrzały poblądłe gwiazdy. Bardzo zimno. Łódka odbija lekko od brzegu. Owijam się w dachę, kładę na dnie, przymykam oczy. Zasnąłem.

Z krótkiej drzemki budzi mnie znów żywszy powiew świeżego, zimnego wiatru. Łódź sunie chyżo. Od wschodu niebo zaczyna rozjaśniać się lekkim seledynem.

.....

...Teraz właśnie tam, w wielkim mieście, nocne życie pieni się w gorączkowym szale. Dancing. Bufet obsiedli podnieceni trunkiem panowie. Gęste kłęby dymu. Jazz-band warjuje. Dziesiątki par kołyszą się, związane zmysłowym uściskiem. Rozradowany murzyn szczerzy zęby w małych grymasach. Błady i pijany młodzieniec naśladuje go bez powodzenia. Hałas, krzyk, niedwuznaczne dowcipy, cyniczne wyznania, rozcheltane pożądania. Delikatne, zarumienione twarzyczki o rysach madonn renesansowych, a w oczach grzeszne płomienie czarownic... Jeszcze jedna butelka! Jeszcze jedno shimmy!...

.....

Cisza bezmierna, nieskończona, upajająca cisza! Pierwsze rumieńce wykwitają na coraz jaśniejszych seledynach wschodu. Stalowe wody jeziora zaczynają mienić się fioletem. Gdzieś wdali odzywa się senna kukulka. Z mroku nocnego wylaniają się kontury łoż, mgliste, tajemnicze, niby gaje z nieprawdziwego zdarzenia... Kaczeńce zaświeciły żółtym ogniem, zieleń traw czyni się dziwnie jaskrawą. Aż wreszcie hen, w niezmierzonej dali, ukazuje się rąbek purpurowego kręgu. Olbrzymia kula wylania się szybko z wód, odbicie jej zapala wody czerwinią. O, cudzie niewysłowiony rodzącego się wiosennego ranka! Wzruszenie chwyta za gardło, kąty źrenic zwilżyły słodkie łzy. Boże! Jak wielkim jesteś poetą i artystą! Ty, który sprawiasz ten cud!

Już budzą się mieszkańcy wodnych pustkowi. Bardzo daleko tokuje uporczywie cietrzew, żórawie swarzą się z jęklwym lamentem. Para kaczek porwała się z traw z wrzaskliwym kwakaniem, w łożach kurki wodne trajkoczą, plotkują, czynią zamęt hałaśliwy. Wożuj wyjmuję «krikuchę» z koszyka, przywiązuje ją na sznurku do palika. Potem pcha łódź w gąszcz oczeretów. Zrzuciłem ciepłą dachę, już fuzja nabita, oczy wypatrują chciwie..., «krikucha» wrzasnęła zmysłowem, rozpaczem niemal wołaniem. Pokazał się pierwszy kaczor. Szybuję wysoko, jakgdyby go nic to wołanie nie obchodziło. Lecz nagle skręcił i śmignął błyskawicznym lotem ku zdradzieckiej rajfurce. Huknął pierwszy strzał, ciężki ptak spada jak kamień do wody.

Polowanie się zaczęło...

PRZEDWIOŚNIE W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

I OTO znowu, w dżdżysty i chłodny dzień kwietniowy, znalazłem się na tokach głuszcowych w puszczy Białowieskiej. Tym razem honorowym gospodarzem jest p. minister Karol Niezabytowski, któremu towarzyszą córki; p. Stanisław Janicki, poprzedni minister rolnictwa, należy do zaproszonych gości. Skład tej listy podległ zmianom. Lecz rychło, jeszcze w pociągu, następuje wzajemne zbliżenie. Zamiłowanie myśliwskie wytwarza pewnego rodzaju masonerję, wiąże ludzi różnych poglądów i przekonań wspólnem umiłowaniem przyrody i namiętnością wzruszeń łowieckich. Zaiste, św. Hubert jest wielkim świętym, skoro potrafi na tym padole waśni, zawiści i walk — takich dokonywać cudów.

Wśród gości jest p. minister Miedziński, przeciw któremu wre obecnie kampanja z powodu liczników telefonicznych. Trudno o miłszego towarzysza myśliwego! Pelen temperamentu, żywości, paruje wciąż żartobliwe docinki, któremi dokucza mu przekornie p. Janicki. Zamaszysty, uprzejmy i uśmiechnięty poseł węgierski, p. Belitska robi wrażenie wykwintnego szlachcica polskiego — zwłaszcza, że w rozmowie francuskiej szafuje gęsto frazesami polskimi, nienagannie wymawiając najtrudniejsze wyrazy. Jeszcze dwóch innych przedstawicieli dyplomacji cudzoziemskiej: p. Quevedo, poseł portugalski, zawołany myśliwy, który zna już wszystkie mateczniki kresowe i p. Le Verdier, sekretarz ambasady francuskiej. Hr. Stefan Przeddziecki, szef protokołu w M. S. Z., i p. Markowski, wicedyrektor kancelarii p. Prezydenta, reprezentują dyplomację polską.

Nad wszystkim czuwa p. Miklaszewski, dyrektor Departamentu Leśnictwa, niestrudzony, pamiętający o każdym gościu — rozkochany w swoich lasach, jak czuły i wierny kochanek. Dopomaga mu miły nasz kolega, Julian Ejsmond, Nemrod młody, lecz srodze zawzięty i przez św. Huberta szczególnie protegowany: gdzie nikt nie strzela, on potrafi dać dubleta do wilków!

Miejscowem przyjęciem i organizacją polowania kieruje p. Szemiota sprawnie i z autorytetem, który pochlebnie świadczy o jego administracyjnych zaletach. Pierwszy przedwieczerek jest zimny, i ciąg słońce wąty. Ze słabą otuchą rozjeżdżamy się w nocy do wyznaczonych dla każdego myśliwego rewirów. W moim rewirze żaden z osadzonych głuszców nie grał. Gdzieś wdali słyszałem ciężki łopot skrzydeł zrywającego się do lotu koguta. Cicho przemknęła nad czubami

sosen głuzyca. To wszystko. Całonocne, żmudne wałęsanie się po mokrych uroczyskach było bezowocne.

Mimo niepomyślnych warunków atmosferycznych, trzem myśliwym powiodło się lepiej. Pp. Niezabytowski, Miklaszewski i Ejsmond zabili po głuszczu.

W dzień ociepla się. Słońce raz wraz wyziera z za chmur. Może nadchodząca noc będzie wdzięczniejsza! Wszyscy są tak znużeni, że przedwieczorny ciąg słońce ma tylko trzech zwolenników. Jedziemy razem: pp. Quevedo, Le Verdier i ja.

Na szosie, przerywanej puszcą, nieopodal mostu, czeka urzędnik leśnictwa, który będzie moim przewodnikiem. Wyskakuję z samochodu, skręcamy w wąską drożynę leśną. Z prawej strony strzeliste sosny, z lewej, na mokradłach, młody gaj brzozy. Podszycie z wysokich traw i pożółkłych oczeretów. Cisza. Głęboka, uroczysta cisza. Mieszkańcy puszczy tak są przytłoczeni jej majestatem, że mówią półgłosem jak w kościele.

Idziemy w milczeniu. Wtem leśnik dotknął mego ramienia. O sto kroków przed nami duży, płowy zwierz wysunął się z brzeziny, przeskoczył chyłkiem drogę, zniknął w oczeretach. Przez mgnienie oka widziałem, jak zwrócił ku nam złą, plugawą mordę. Wilk! Broń nabita drobnym śrutem, strzał zbyt daleki! Zbliżamy się śpiesznie do miejsca, którędy zwierz przemknął: na błotnistej drodze widnieją świeże tropy. Daremnie jednak wpatrujemy się w trawy! Ahaswer dzikiej kniei już niechybnie daleko...

Stanowisko mam na niewielkiej haliznie, na brzegu kotliny, którą przewlekłe deszcze zamieniły w sadzawkę. Z ukrytego w gęstych trawach źródła sączy się woda, wydzwaniając bez przerwy melodję jednostajną i melancholijną. Mój towarzysz usunął się dyskretnie w głąb boru. Zostałem sam.

Słońce ukryło się za sinemi chmurami, niebo zasnuwa się lekkim, szarym woalem. Pokropił przelotny deszcz. Cisza. Niekiedy puszcza odetchnie mocniej, wiatr zaszumi w koronach sosen, w oczeretach i trawach odezwą się stłumione poszepty i westchnienia. I znów cisza, bezmierna cisza.

Niema w niej jednak nic martwoży. Ta cisza żyje, nasyciona utajonem, bujnym, wszechstronnym życiem puszczy. Cisza. Tylko krople wody, spadające ze źródła do sadzawki, dzwonią smętnie i monotonna. Z oczeretów, na przeciwległym brzegu kotliny, wysunął się rudawy koziołek, nawykły tutaj szukać wodopoju. Dojrzał mię i cofnął się. Świegot drobnego ptactwa czyni się głośniejszym. Przed nadchodzącą nocą leśnych śpiewaków ogarnia podniecenie. Zaczyna się wieczorny koncert puszczy, słodkie gwizdania i poświsty zlewają się w tajemniczej symfonii. Namietne, boleśnie zmysłowe brzęczenie kszyków odzywa się coraz częściej. Gdzieś wdali zachrapała pierwsza słonka. Napróżno wyteżam wzrok w tę stronę. Zasłoniły ją sosny. W tym samym momencie postrzegam inną słonkę, płynącą

wysoko, z przeciwnej strony. Zgorączkowałem się ze strzałem, śrut polechtał ją po piórkach ogona; zniżyła raptownie lot, jak aeroplan, gdy trafi na puste miejsce, i poszybowała dalej. Lecz niebawem odzywa się znów poważne chrapanie. Teraz widzę czarny punkt zdaleka, leci o 60 kroków ode mnie bokiem. Zmierzyłem dobrze, i ptak, trafiony w głowę, w koziołkach spada jak czapka na ziemię...

...Zmrok już zupełny, gdy tą samą drogą wracamy do szosy. Za chwilę błyskają latarnie pędzącego po mnie samochodu.

.....

O północy budzi mnie pukanie do drzwi. Zrywam się napół przytomny.

— Czas jechać!

Chwytam fuzję, naboje, narzucam duże futro. W ciemnościach świecą latarnie powozu. Wstępuję do palacu po p. Quevedo, i razem jedziemy do wielkiego tartaku. Tam rozdzielają się nasze losy. On wsiada do wagonu kolejki leśnej, ja — na małą dreżynę, przy której już czeka leśnik. Ruszamy szybko. Za chwilę gasną światła leśnej fabryki. Wąskim torem wrzynamy się w czarny, śpiący bór. Poprzez chmury ledwie przezierają tarcza księżyca, rozlewając bladą poświatę. Głuchą ciszę przerywa tylko chrzęst dreźny.

Godzinę trwa ta podróż. Nareszcie wdali błyska czerwone światełko. Stop! Przy ognisku grzeje się trzech ludzi: dwóch gajowych i nadleśny. Poznajemy się. Nadleśnym jest p. Bark, były jegermeister białowieski cesarza Mikołaja, rodzony brat rosyjskiego ministra finansów z okresu wojny. Jestem stropiony, że zadał sobie tyle trudu. On odpowiada:

— Ja-bo i dla własnej przyjemności! Takie wyprawy myśliwskie, to moja namietność! Czyż może być coś bardziej interesującego?...

Siedliśmy na zwalonym pniu. Gajowi kucnęli przy ogniu, raz wraz dorzucając gałęzi i drewien. W czerwonych blaskach płomieni puszcza wydaje się jeszcze bardziej ciemną i tajemniczą.

Moczary, na których mam szukać głuszcza, są położone zaledwie o paręset kroków. Mamy tedy blisko półtorej godziny przed sobą.

Zapaliliśmy papierosy, zaczyna się zwykła, myśliwska gawęda ściszym półgłosem, bo puszcza tchnie powagą i grozą, które nie dopuszczają swawoli, śmiechu, głośniejszych rozhovorów. Twarze gajowych surowe, uroczyście. P. Bark, mężczyzna chudy, wysoki i żylasty, lat około sześćdziesięciu, o rzadkiej, ryżawej bródce i zblakłych oczach niebieskich — jest typem barona bałtyckiego. Jako łowczy białowieski, towarzyszył carowi i wielkim książętom w ich łowach, podjeżdżał z nimi jelenie, organizował naganki na dziki, kozły, daniela. Dziś nosi mundur leśnika polskiego, na czapce — białego orzełka.

— Jeleni było tutaj około piętnastu tysięcy — opowiada p. Bark, — żubrów — siedemset kilkadziesiąt (niema ani jednego), wielkie mnóstwo sarn i dzików, sporo danieli. Car Mikołaj był na polowaniu uprzejmy i niewymagający. Natomiast w. ks. Mikołaj Mikołajewicz był gwałtowny, nerwowy, unosił się łatwo.

Gdy nawała niemiecka zbliżyła się do puszczy, pana Barka ewakuowano do twerskiej gubernji. Wkrótce potem wysłany został do Persji. Tam mógł dać wodze swym upodobaniom łowieckim! Koczując w rozległych krainach podgórskich, polował na muflony, dziki i bażanty, zabił dwa tygrysy i lamparta. Przewrót bolszewicki zmusił go do powrotu. Władze sowieckie wszakże traktowały b. urzędnika carskiego z rosnącą nieufnością. Pan Bark zdołał przedostać się wraz z rodziną do Polski — powrócił do Białowieży.

Wilgotny chłód zaczyna dojmować, pomimo ciepłego futra. Przybliżyliśmy się do ognia. Pan Bark ciągnie dalej, prawie szeptem, swe wspomnienia:

— Kiedy tu przybyłem, jeszcze byli Niemcy. Dali mi mieszkanie, żywność, wciągnęli do pracy nad monografią puszczy. Lecz niebawem nastąpiło załamanie się, żołnierze niemieccy ogłosili własne sowiety, wyzwolili się z pod władzy zwierzchnictwa. Oficerowie, opuszczając Białowież, zostawili nam nieco broni i nabojów. O bezpieczną puszcę rozpoczęli zabiegać bolszewicy, Litwini, a nawet Ukraińcy. Raz wraz zjawiali się nowi ludzie z pretensją obejmowania puszczy w swoje posiadanie. Grasowały oddziały najróżniejszych formacji wojskowych i bandy opryszków. Głód zajął do chat. Wtedy to nastąpiło ostateczne mordowanie żubrów, jeleni i danieli. Zainicjowali dzieło zniszczenia żołnierze rosyjscy. Niemcy narazie poszli w ich ślady, wprędce jednak generalicja nakazała szanować zwierzynę. Teraz nadszedł czas najgorszy. Zgłodniałe chłopstwo rzuciło się na puszcę bez opamiętania. Dniem i nocą nie ustawała strzelanina. Aż przyszedł moment, że na wielkich obszarach pozostał tylko jeden, ostatni żubr. Daremnie próbowali go ocalić starzy strażnicy leśni. Wytropiono go, otoczono, posypały się kule z berdanek. Ostatni król puszczy legł martwy...

Pan Bark zamilkł. Przez kilka chwil wsłuchiwaaliśmy się w milczeniu w suche trzeszczenie ognia.

— ...Aż pewnego dnia zjawia się garsteczka jakichś żołnierzy. Zamknęły się trwożliwie drzwi chat. Z za okien patrzyły niespokojne oczy mieszkańców puszczy. Kogóż to znowu los niesie? Wtem ktoś krzyknął:

— Wojsko polskie!

— Odetchnęliśmy z ulgą. Niestety! Radość trwała krótko. Oddział żołnierzy polskich objął puszcę w posiadanie Rzeczypospolitej i poszedł dalej... Znow nastąpił tygodnie zamętu i trwogi. Wreszcie zjawily się silniejsze oddziały wojsk polskich, zjechały polskie władze administracyjne. Szlachetna zwierzyna, która przed wojną wypełniała puszcę, została jednak niemal doszczętnie wytępiona!...

Jakaś nerwowość czai się w tem opowiadaniu, jakieś niedomówienia, może utajone żale... Czy podobna dziwić się człowiekowi, który wzrósł i wychował się w zgoła innych warunkach i tradycjach, który doznał gorzkich zawodów, który odczuwa może nieposkromione tęsknoty?...

Lekki powiew wiatru przemknął po lesie, który jakgdyby westchnął przez sen. Ognisko dopala się. Na wschodzie niebo przybladło. Wysoki gajowy, o jasnych, zwieszających się wąsach, zbliżył się do mnie i szepnął:

— Pora, panie!

Pożegnałem się z panem Barkiem. Poszedł wolno, zgarbiony, torem kolejki. Ja zrzuciłem futro, nabiłem broń. Parę kroków w czarną gąszcz, pod stopami woda i grząskie błoto — milcząca, tajemnicza puszcza wchłonęła nas.

Wysokie do pasa buty gumowe chronią mnie od przemoczenia. Są zato dość ciężkie. Co chwila potykam się o nadgniłe zwały i wykroty, wpadam w głębokie bajory. Dla mego przewodnika niema przeszkód. Idzie szybko i cicho. By go w gęstym mroku nie stracić z oczu, muszę dotrzymywać kroku. Wkrótce pot leje się z czoła...

Zatrzymaliśmy się na mokrem uroczysku, gdzie las jest wątlejszy i rzadszy. Siniejące niebo przegląda przez korony rachitycznych sosen. Gdzieś wdali, na prawo, zaszumiał łopot potężnych skrzydeł.

Puszcza zaczyna się budzić do życia. Odzywa się chrapanie przelatującej słonki. Wnet druga przepływa nam nad głowami. Chrapanie staje się tak częste i mocne, że głuży inne głosy. Bekas zabrzęczał namiętnie... Daleko, daleko klóć się żałośnie żórawie.

Gajowy spojrzał na mnie znacząco, z uroczystą powagą... Dosłyszał «klaskanie» głuźca. Ja w tej koncertowej uwerturze rodzącego się poranka nic jeszcze rozróżnić nie mogę. Wpiłem się oczyma w mego towarzysza. Nagle dał tęgie dwa susy. Ja za nim. Znieruchomieliśmy. Nogi zapadają głęboko w wodzie i lepkiem trzęsawisku. Skoki szczególnie są utrudnione przez oślizgłe a ukryte we mchach zwały. Wywrócić się łatwo.

Już wzruszenie myśliwskie zaniepokoiło serce, uderzyło gorętszym napływem krwi do skroni. Posuwamy się naprzód z dłuższymi i krótszymi postojami. Teraz słyszę wyraźnie donośne «korkowanie». Lecz cóżto? Zboku ozwało się basowe — ko! ko! Tu i tam zaszumiały wielkie skrzydła. Dokoła nas przeży się i wygina w zdobywczych zalotach pięć lub sześć niewidzialnych kogutów. Podchodząc jednego, nader łatwo spłoszyć inne. W szaro-niebieskich oczach leśnika czytam niepokój. Skaczemy z podwójną ostrożnością. Pieśni są krótkie, urywane i niegłośne. Łopoty skrzydeł nie ustają. — Ko! ko! — rozlega się bezustannie. Widocznie głuźce sfruwają na ziemię, podnoszą się znów na gałęzie. Może szykują się jakieś tytaniczne walki między współzawodnikami. Wcale blisko przeleciała szybko i cicho głuźcyca, zapadła opodal.

Nasz kogut znów podjął swą pieśń. Rozróżniam dokładnie wszystkie jej fazy... Podczas «szlifowania» suniemy naprzód. Świta dzień. Dwa tęgie susy! Wpadłem w głęboki bajor, w skoku nogi tak mi się skrzyły, że ledwo mogę ustać. Prostuję wolno i ostrożnie stopy, w oczach leśnika dostrzegam surową wymówkę. Głuźzec przestał grać.

Stoimy bez ruchu w dziwacznych pozach, zlewamy się z rosochatami pniami drzew w jedną szarą całość. Mózg przestał pracować, cały korpus drętwieje, tylko nogi, do kolan pogrążone w wodzie, ziębną dokuczliwie. Zdaje się, że krew krąży w żyłach tak wolno, jak sok życia w pniach otaczających nas sosen i brzóz. Czy złośliwy kaprys ducha puszczy nie zamieni nas ostatecznie w dziwotwory leśne?...

Głuszec, którego podchodzimy, nie może być dalej, jak o 60—80 kroków. Zasłaniają go zwarte kępy drzew.

Już kosy zaczynają gwizdać, i drobne ptactwo kwili szczebiotliwie. Słonki i bekasy umilkły, żórawie zaniechały swych lamentów. Niebo czyni się coraz jaśniejsze. Ciężkie łopoty skrzydeł nie ustają. — Ko! ko! — odzywa się raz po raz, i z ciemnych sosen, i z traw. Jak długo stoimy w bezruchu? Straciłem rachubę czasu. Nogi zlodowaciały docna. Przykry dreszcz wwierca się między łopatki. Coby powiedział mój kochany opiekun i zbawca, dr. Aleksander Bernstein, gdyby mnie w tej pozycji obaczył? On, który uparcie nakazuje ubierać się ciepło, chodzić wcześniej spać, nie pić, nie palić!...

Pobladła twarz gajowego staje się tragiczną. Rozumiem, że i on już wątpi o skuteczności naszych wysiłków. Nawet sójki poczynają szydzić z nas, wydziwiać. Niema co! przeklęty kogut nie wznowi pieśni. Daremne zachody! Nie udało się!

Leśnik westchnął.

— Już nie będzie grał!

Poruszamy się. Gdzieś za drzewami załopotwały skrzydła. Głuszec siedział na ziemi... Porwał się, niewidzialny.

— Wracamy?

— Tak, panie!

Och! Ten powrót bez upragnionego łupu! Jakże ciężko stąpają odrętwiałe nogi! Potykam się mozolnie, nagle wyczerpany z sił. Do kata! jak ja w nocy mogłem przejść te bagna, wody i zwały! Na takim uroczysku szatan musi wyprawiać harce!

Zimno! Sięgnąłem do manierki, łyknąłem tego wódki. Za zdrowie miłego doktora Bernsteina i wszystkich koryfeuszów medycyny. Chwała Ci, Panie na Wysokościach, żeś jeszcze nie dał pannie Puzyniance pełnego zwycięstwa.

Jest dobrze po siódmej, kiedy wracamy do wagonu, który stanowi naszą siedzibę. Już paru myśliwych śpi. Niebawem nadchodzą inni, pomęczeni, przeważnie kwaśni. Tylko p. Belitska i młody Francuz triumfują. Mają po głuszu.

Trzeba zwyciężyć tęsknotę do łóżka i ciepłej kołdry. W wagonie zgiełk, pan Niezabytowski wzywa nas na strekę, którą będą otrębywać słynni białowiescy trębacze. Potem śniadanie...

Pociąg ruszył. Spać? Nie, już zapraszają do bridża...

POLOWANIE NA ZAJĄCE W SKALACIE

JEST stworzenie, które przeczy, iżby w Polsce działo się najgorzej... Zając. Pocciwy szarak nie lubił wojny, nie znosił okupacji. Już zaczynało go całkiem braknąć na ziemiach Rzeczypospolitej. Z nim razem rzedła kuropatwa. Pusto czyniło się na polach Mazowsza, Wielko- i Małopolski. Zając i kuropatwa, to pospolita, ale miła nad wyraz i bliska sercu myśliwego polskiego zwierzyna. Któż nie uśmiechnie się na widok pomykającego z kotliny zająca, kogo nie rozweseli furkot porywającego się ze ścierniska stada kuropatw?...

Wraz z podźwignięciem się gospodarstw rolnych, zając i kuropatwa rozmnożyły się ponownie na naszych równinach. Ostatnie sezony łowieckie świadczą, że wracamy do przedwojennego zwierzostanu.

Jednem z piękniejszych polowań na zające jest niewątpliwie polowanie w Skałacie, u p. Aleksandra Rozstockiego. Podole galicyjskie, mimo niezwykle żyznej gleby, naogół nie grzeszy obfitością zwierzyny. Lasów jest tam mało, rozległe płaskowzgórza nie posiadają remiz ani krzaków; zwierzyna nie ma się gdzie chronić przed drapieżnikami, czy niepogodą. Skałackie lasy, obejmujące zgorą 60 włók przestrzeni, stanowią szczęśliwy wyjątek. Są one na całą okolicę jakby olbrzymią remizą. Trzeba dodać, że hodowla i ochrona zwierzyny prowadzone są z wielką troskliwością i umiejętnością. Knieja skałacka, przetrzebiona dotkliwie przez wojska rosyjskie w roku 1919 była pusta, niemal wymarła. Wybito sarny, których tam było kilkaset sztuk, wyłapano bażanty, wystrzelano zające! Na pierwszym polowaniu powojennem padło 12 zające! Teraz na dwudniowym polowaniu pada ich z górą siedemset! Teren jest wyłącznie leśny: rzetelny myśliwy woli zabić jednego zająca w kniei, niż trzy w polu!...

Po długiej podróży w wagonie kolejowym wysiadamy o zmierzchu w Podwoleczyskach, które pozostały stacją graniczną. Wielki dworzec, osada pięknie zabudowana i malowniczo na wzgórzach ponad Zbruczem rozrzucona. Lecz handel legalny i nielegalny z Rosją zamarł. Ruch tranzytowy ustał. Nikt z Rosji tędy nie jedzie w świat — ze świata nikt się do Republiki Sowieatów tędy nie udaje. Ze wspaniałych murów dworca wieje melancholja.

Sanie czekają u podjazdu. Sprawdzamy pakunki, otulamy się w wielkie futra, jęknęły janczarki, tęgie konie ruszyły szparko. Mróz tnie zdrowo. Z lewej strony

zamarzłe łożysko Zbrucza, który stanowi granicę. Na przeciwnym brzegu gołem okiem widzę bolszewickiego żołnierza... Wspinamy się pod górę, wydostajemy się na szeroką płaszczyznę, zasłaną niepokalanym śniegiem. Na ciemniejszy błękit nieba i jaśniejszy błękit śniegu osuwa się delikatny woal przedwieczera. W szczyrem polu niebo łączy się niedostrzegalnie z ziemią. Wrażenie nieskończoności!... Te płaskowzgórza podolskie, tak odmienne od naszego krajobrazu, posiadają urok i czar niewysłowiony. Pierś oddycha głębiej i szerzej, dusza i umysł wyzwalają się z ciasnoty powszedniego życia.

Zmrok czyni się coraz gęstszy, niebo bez gwiazd, wszystko zlewa się w błękitną szarość. Zawsze odczuwam podziw dla stangreta, który w tych warunkach umie nieomylnie trzymać się drogi, niczem nie znaczącej się w śniegu. Wdali ciemnieją niskie krzaki. Zbliżamy się — nagły wąwóz, jar głęboki, a te krzaki — to czuby drzew, okalających duże sioło, Kaczanówkę. U nas, w dawnym Królestwie Kongresowem, wsię budowano zazwyczaj na wzgórzach. Tutaj osiedla kryją się przed wiatrami w rozpadlinach. Na krańcu wsi czekają na nas sanie z zapalonemi żagwiami. Przezorny gospodarz, chcąc uchronić gości przed zabłądzeniem, przysłał płonące pochodnie, na wysokich żerdziach umocowane, które nam wskazywać będą drogę. Przed dwoma laty tutaj właśnie z Lilpopem błakaliśmy się przez kilka godzin wśród gęstej zadymki, wysypując się wielokrotnie na zboczach. Sześć par sani mknęło wślad za płonącymi żagwiami poprzez pustynię śnieżną. Mimo ciepłych futer, chłód robi się dojmującym. Nareszcie majaczy ciemna ściana kniei. Wpadamy w szeroką drogę leśną. Wprędce połyskują wśród nagich różg buków i klonów żółte światła. Jesteśmy w Horach, w leśnej rezydencji pana Rozstockiego.

.....

Ranek. W całym domu rozgardjasz, wołania, bieganina... Myśliwi, którzy nocowali, zbierają się wcześniej przy śniadaniu. Co chwila przed ganek zajeżdżają z brzękiem dzwonek sanie zaproszonych sąsiadów. Radosne powitania, okrzyki. Znamy się wszyscy, od kilku lat rok rocznie spotykamy się tutaj na łowach. Charakterystyczna pasja myśliwych, to wzajemny przegląd broni i przyborów łowieckich. Każdy szczegół budzi zainteresowanie. Wszystko jest wynikiem doświadczeń, pomysłowości, współzawodnictwa. Ten wynalazł jakieś niezwykle buty w Londynie, tamten chwali swe filce wiedeńskie, ów chęłpi się kozuchem białoruskim, wdzięcznie wyszywanym. Pudła do nabojów, torby, noże myśliwskie, stołki składane są przedmiotem długich rozważań. Cóż dopiero broń! Purdey'e, Grunery, Hollandy, Pirlety!... Każdy myśliwy jest trochę dzieckiem, rozlubowaniem w zabawkach...

Za oknami odzywają się trąbki. Pan Wołk, kierownik polowania, wzywa do odjazdu. Ładujemy się na sanie.

Poranne słońce tu i ówdzie przebija perłowe mgły i różowi zlekką śnieg. Las jest jak z bajki. Świerki uginają się pod ciężką okiścią, toną w olbrzymich zwalach śniegu. Klony, buki, dęby, brzozy, osnute srebrno-białą sadzią, czynią

wrażenie fantastycznego lasu z koralami na dnie zaczarowanego morza. Niebo opalowo-błękitne. Poemat śnieżnej białości i delikatnego błękitu... Aż krzyć się chce w radosnym upojeniu! Tylko w tym niewypowiedzianym pięknie niema życia. Jest śmierć. Podziwu godna, niezrównanego powabu, bezlitosna, zimna... Żadna gałązka nie drgnie... Świat zastygł w uścisku białych ramion.

— Ile stopni mrozu?

— Szesnaście!

.....

Ledwie znaleźliśmy się na stanowiskach, już głos trąbki zwiastuje, że naganka ruszyła. Niebawem dają się słyszeć dalekie okrzyki: — Kołataj! Nie daj! — Wśród koronki odartych z listowia krzaków mignęły pierwsze cienie. W masie sypkiego śniegu zające pomykają z trudem. Strzał w tych warunkach staje się łatwym, zrećność myśliwska niewielkie ma pole do popisu. Mój sąsiad z prawej strony wypuszcza zające na linję, pragnąc ułatwić sobie ich późniejsze zbieranie. Korzystam z tego i parę kotów sprzątam mu z przed nosa. Śmiejemy się obaj, bo komuż zależy na paru zającach więcej! Kanonada staje się coraz żywsza, zwłaszcza na flankach. W Małopolsce jest zwyczaj, że na obu klamrach, w odległości stu, dwustu kroków od naganki, idzie myśliwy. Są to przeważnie najlepsze stanowiska, zając bowiem ma najczęściej tendencję do wynoszenia się bokiem. Lecz spacer wśród zwałów śniegu jest bardzo męczący. Mimo wielkiego mrozu, niejeden myśliwy, gdy mu flank przypadnie, zrzuca kożuch i jeszcze poci się, brnąc przez knieję.

Zdawałoby się, że nic prostszego, jak takie polowanie. Lecz, gdy myśliwi zejdą się po ukończonym pędzeniu przy saniach, okazuje się, że prawie każdy miał jakieś szczególne wydarzenie. Ten dał dubleta, tamten, doskonały strzelec, chybił do zająca o trzy kroki. To znów zając, strzelony w skoku, tak się w śnieg



zapadł, że trudno go było znaleźć. Drobne i błahe rzeczy nabierają wagi i znaczenia. Wrażliwość nabiera ekspansji. I to właśnie stanowi urok myślistwa. Wszyscy skarżą się na nieuczciwość naganiaczy, którzy całkiem bezczelnie próbują kraść zwierzynę. Przechodząc koło zabitego kota, zagarniają go śniegiem. Co się stało z tamtym zającem? — Poszedł, panoczku, poszedł. — W każdym miocie któremuś z myśliwych brak jednego lub dwóch kotów. Kierownik polowania bardzo energicznie rozprawia się z kilku pochwyconymi na gorącym uczynku chłopami. Są to przeważnie koloniści polscy, którzy osiedli w okolicznych rozparcelowanych wioskach. Miejscowi obywatele zwierają się, że wolą znacznie mieć do czynienia z chłopem ukraińskim...

Saniami, na których się rozgościłem, powozi stary Rusin. Opiekuje się mną, okrywa futrem, wyjmuje z pudła naboje. Gdy jedziemy na śniadanie pod wysokie dęby, zwierza się, że coś go w sobie bardzo boli i że kieliszek wódki wpłynąłby dobroczynnie na jego zdrowostan. Więc, gdy zasiedliśmy przy stole, z butelki stojącej przede mną nalewam ćwierć szklanki przezroczystego płynu, wołam woźnicę. Wychylił duszkiem, otarł usta rękawem, pokłonił się, podziękował, odszedł. Po chwili nalewam sobie z tej samej butelki. Do diabła! Toć to woda sodowa! Sięgam po prawdziwą wódkę, odnajduję przy ognisku woźnicę.

— Czemuście nie powiedzieli, że to była woda?

— Ta, panoczku, myślałem, że taka pańska wola...

Gdyśmy wieczorem wracali do dworu, wyznał mi, że wódka wyleczyła go całkowicie z bólów.

.....

Wśród kilkunastu myśliwych są dwie panie: pani Garapichowa, wojewodzina lwowska, i młodzietka hr. Grocholska, która mieszka z mężem w sąsiedztwie, nad samym Zbruczem. Gdy strzela do kaczek, ciągnących nad rzeką, bolszewicy pilnują, czy ptak na ich stronę nie spadnie. A gdy się to przytrafi, z radością łup chwytają.

Obie panie strzelają bardzo wprawnie, znoszą chłód i trudy znakomicie. Zaś mróz coraz dotkliwiej daje się we znaki. Mimo filców i ciepłych rękawic, chwytają drapieźnie za kończyny palców, kłuje boleśnie tysiącem niewidzialnych igieł. Mam wrażenie, że krew w żyłach zwolna marznie i krąży wolniej. Na wąsach osiadają sople lodu. W ciężkich ubraniach wyglądamy jak podbiegunowi troglodyci. Co za przeciwieństwo, gdy wieczorem zasiadamy do stołu w jarzyście oświetlonej jadalni, my — w smokingach, panie — w wieczorowych toaletach. Zamróz wychodzi wszystkimi porami, organizm odczuwa rozkoszne odrętwienie, niczem — znużenie po upojeniu miłosnem...

.....

Dwa dni trwa polowanie. Jedno pędzenie szybko następuje po drugim, w każdym miocie zawzięta strzelanina, w niektórych — wprost rzeź biednych zajęcy. Lis, postrzelony przez jednego z myśliwych, uszedł. Któryś z młodszych

Nemrodów zrobił dubleta do bażantów. Na nieszczęście, jeden z kogutów okazał się kurą. Miny poważne, przymówki, zgryźliwe drwiny. W godzinę później starszy, zgoła doświadczony myśliwy zabija kurę. Ów pierwszy daremnie usiłuje zataić zadowolenie. Wszystkiemu winien piekielny mróz, odbierający oczom bystrość. Chwała Bogu, że do kozłów nie strzelamy. Kura bażancia, to grzech, koza — to występki!

.....

I wreszcie ostatni wieczór, uroczysta streka w świetle ogni bengalskich, przy rozgłośniej fanfarze trąb myśliwskich. Przeszło siedemset zajęcy leży pokotem. Królem polowania jest baron Brunicki, jeden z najświetniejszych myśliwych małopolskich, głośny z rzadkiego rekordu: na jednym stanowisku raz zabił jedenaście lisów! Baron Brunicki ma siedemdziesiąt parę kotów na rozkładzie. Drugie miejsce przypada hr. Krasickiemu, trzecie hr. Grocholskiemu.

Wracamy do dworu, by zasiąść do obiadu. Lecz przy stole już krąży ta nieuchwytna melancholja, którą odczuwa każdy myśliwy przy kończących się łowach...

GDZIE PARDWA ŻERUJE



ZWILNA jeszcze sześć godzin drogi koleją. Stara lokomotywa sapie na wzgórkach, z trudem ciągnie kilka zaledwie wagonów. Pociąg zatrzymuje się wreszcie na małej stacyjce, na skraju kniei. Oto cel naszej wyprawy: Woropajewo. W kilka minut później wysiadamy przed tarasem nowego pałacu hr. Konstantego Przeździeckiego. Obecnie zamieszkałe jest tylko jedno skrzydło. Lecz budowa idzie rażno. Niebawem praca dobiegnie końca. Pałac, osadzony nad dużym jeziorem, wśród strzelistych sosen i świerków, będzie jedną z najbardziej uroczych pańskich rezydencji w Polsce. Na tem samym miejscu stał dawniej inny, wzniesiony przed dwoma dziesiątkami lat. Spalili go bolszewicy, jak spalili również większość zabudowań gospodarczych. Ale gdy gdzie indziej sterczą ruiny, w Woropajewie, dzięki śmiałej inicjatywie hr. Przeździeckiego i jego energicznych pełnomocników, nie zostało śladów wojennej pożogi. W odbudowanych stajniach i oborach pełno inwentarza. Na przeciwnym brzegu jeziora huczy młyn i tartak. Wokół dworca kolejowego rozrasta się osada, która wprędce zamieni się w miasteczko. Sieć telefonów łączy wszystkie folwarki i leśnictwa. A gdy zmrok zapadnie, wśród zieleni drzew zapalają się łukowe lampy elektryczne, potęgując wrażenie, że na tym najdalszym odcinku Rzeczypospolitej robota kulturalna posuwa się niezmożonym trybem.

O parę stajań dalej — głucha knieja, w której krąży chyłkiem wilk, czai się ryś, na wiosnę głuszec i cietrzew tokują. Lecz wąskotorowa kolejka wrzyna się już w dziki bór, pozwala go umiejętnie eksploatować.

Dwór polski był, jest i będzie na kresach jednym z najważniejszych rozsadników kultury polskiej. Dwór i szkoła. Szkoła uczy mowy polskiej. Dwór staje się ośrodkiem życia gospodarczego, stwarza dla ludności miejscowej wciąż nowe źródła zarobków. Trzeci czynnik — administracja państwowa, niestety, dotychczas przeważnie nie spełnia swych zadań. Niekiedy bywa nawet do tego stopnia niezręczna, że ułatwia agitację białoruskim, nacjonalistycznym demagogom.

Północny cypel Rzeczypospolitej obejmuje starostwa: brasławskie, dziśnieńskie, postawskie i część święciańskiego. Tutaj, wśród lasów, tają się rozległe moczary, czyli rojsty, jałowe uroczyska, na których spotkać jeszcze można najbardziej egzotycznego z naszych ptaków łowieckich — pardwę. W północnej Rosji pardwa — zwana tam, zresztą dość niesłusznie, białą kuropatwą — jest znacznie pospolitsza. U nas gnieździ się jedynie na tym skrawku.

.....

Nazajutrz ruszamy taborem za Dzisienkę do Oboloni, o dwadzieścia kilka wiorst na północ od Woropajewa, gdzie zaczynają się wielkie rojsty oświckie. Promem przepławiamy się przez rzekę. Gościnni gospodarze, pp. Wardeński i Korozowicz, uczynili wszystko, by zapewnić na leśniczówce wygodny nocleg i pobyt. Kolacja w tym «za górą, za lasami» ukrytym zaścianku litewskim ma swoisty charakter. Obok różnego rodzaju świetnych wędlin i serów, na stole pojawia się miód i surowe ogórki. Ulubiona potrawa litewska! Ogórek rozkrawa się nożem napół — łyżeczkę macza się w miodzie i zanurza się ją w mięszu ogórka. To połączenie daje smak, zbliżony do melona. Prawy Litwin potrafi w ten sposób na jednym posiedzeniu zjeść 8—10 ogórków, bez szkody dla zdrowia, a z rzetelną przyjemnością.

Kołdunów prawy Litwin nie liczy, jako że cyfry stają się wprost zawrotne i nieprzyzwoite.

Zrywamy się przed wschodem słońca. Bryczki już czekają. Wsiadamy pod lasem. Wąską ścieżyną nad kanałem idziemy gęsiego. Każdy myśliwy ma gajowego, który niesie żywność i naboje.

I oto przed nami rojsty. Jak okiem rzucić, bezkresna przestrzeń mokradeł i trzęsawisk, porośniętych kępami rudego, gąbczastego mchu, w którym noga głęboko zapada, i twardem, zielonem trawskim. Żółte plamy wodorostów pokrywają oparzeliska, nieraz zgoła niebezpieczne. Na suchych miejscach — różowo-fioletowe wrzosowiska, krzaczki żórawiny i pijanicy, których jagody są ulubionem pożywieniem pardwy, głuszca i cietrzewia. Skarłale, rachityczne chojaki i brzótki. Wdali, na tle gęstego boru, srebrzy się jezioro. To właśnie Oświta.

Cały ten obszar wydaje się beznadziejnie martwy. Głuchą ciszę przerwie czasem krzyk żórawi lub kwilenie czapli. To znów kruk, kracząc złowrogo, śpiesznie i wysoko przeleci. Gdy wśród mchów spotkasz ledwie widoczną ścieżynę, niewiadomo, człowiek czy wilk ją wydeptał. Bo wilk częściej tu szuka bezpiecznego schronienia, niż człowiek — myśliwskich wrażeń.

.....

Jeśli cię, bracie myśliwy, Opatrzność wyposażyla w obfitsze, doczesne kształty, unikaj rojstów! Radzą ci: — idź lekko, podnoś nogi jak bocian! — Czyż porządny obywatel może odrazu zamienić się w bociana? Po śliskim mchu stopa osuwa się w żółte, czasem czarne oparzeliska — i wnet grzęźnie wyżej kolan w lepkiej mazi, a opiekun-gajowy ma wiele trudu, by cię z tej błotnej kąpieli wydostać...

Dobry myśliwy na tych rozłogach, to przede wszystkim człowiek fizycznie bardzo silny, wytrwały i cierpliwy. W stosunku do przestrzeni zwierzyny jest mało. Teren niesłychanie nużący. Sztuka myśliwska polega głównie na tym, aby zwierzynę odnaleźć. Sam strzał jest przeważnie łatwy. Strzela się zwykle na krótkie odległości. Młode pardwy i cietrzewie rwą się przed nosem psa, i lot ich wcale nie jest chyży. Ale odszukać je!...

Nasze usiłowania są tym razem bezskuteczne. Zmęczone psy zaczynają obojętnieć. Mój sąsiad ładnym dubletem zabija dwa murzyny (młode cietrzewie). Inni myśliwi nie dochodzą do strzału. Co się stało, u kąt, z pardwami? Czyżby się zwiedziały o naszym przybyciu?

Gdy spotykamy się na umówionym miejscu nad jeziorem, by spożyć skromne, myśliwskie śniadanie, Lilpop nie kryje złego humoru.

Reszta dnia zresztą nie przynosi poprawy. Wracamy pod wieczór do zaścianka, kwaśni i nieładnie zmęczeni. Rozmowa nie klei się przy obiedzie. O ósmej wszyscy w łózkach lub na sianie.



.....

Ranek dżdżysty. Lilpop z Korkozowiczem uknuli tajemniczy spisek: gdy nas budzi brzask wschodzącego słońca, oni już wsiadają do bryczki. Wybiegam na ganek, a że oboloniska pleć nadobna tkwi jeszcze w pieleszach, pytam serdecznie:

— Może wam pokazać kolano?

Lilpop mruczy pod nosem coś, co się nie da powtórzyć, Korkozowicz świeży, różowy i zawsze tak samo chudy uśmiecha się słodko.

— Ot wymyślił! Co nam z męskiego kolana!

Bryczka zniknęła za płotem. Wpół godziny później jedziemy i my z Wardeńskim. Hr. Przeździecki, zrażony niepowodzeniem, wraca do Woropajewa.

Okazało się, że miał słuszość. Drugi dzień nie jest pomyślniejszy. Spotykamy parę stad cietrzewi, pardw ani śladu. Wyemigrowały. Gospodarze są bliscy rozpacz, zwłaszcza że Lilpop staje się w gorzkich i cierpkich uwagach agresywny.

— Lato było bez deszczów i rojst jest suchy. Pardwy musiały się przenieść na miejsca bardziej mokre.

Bardziej mokre? Właśnie przed chwilą znów wpadłem po pas w oparzelisko...

— Trzeba nam jechać gdzie indziej — konkluduje Korkozowicz — na błota...

Wracamy z Wardeńskim wcześniej do Obołoni. Widząc bezskuteczność wysiłków, nie męczyliśmy się nadto. Schyłek dnia spędzamy w zaścianku. Dworek jest mały i wygodny, pokoje jasne i czyste. Przed gankiem mały ogródek kwiatowy — dalej zabudowania gospodarskie. Na lewo — nieodzowna na Litwie wędzarnia i sad, schodzący ku rzece. Na puszystej, jaskrawo-zielonej trawie, gaj jabłoni, śliw i wiśni. Jabłonie rumienia się i złocą od dorodnego owocu. Sad tchnie spokojną i rzetelną radością życia.

— Oto plon za trudy i starania!

Ziemia jest wdzięczniejsza, niż ludzie.

Pan leśniczy Czyżewski, który mieszka w Obołoni, jest typem Litwina, jak go widział Sienkiewicz. Imiępan Longinus Podbipięta! Wysoki, barczysty, oczy jasno-niebieskie, pocziwe, włosy jak len, długie wąsy spadają nisko... Na krańcu sadu siadamy nad łączką. O kilkadziesiąt kroków przed nami, w głębokim jarze, obramowanym wierzbina, w lubieżnych skrętach płynie wartko ciemnobra, Dzi-sienka. Słońce zachodzi w orgji złoto-pomarańczowej pożogi. Po błękitnem niebie snują się leniwie srebrne puchy obłoków.

Cisza... Głęboka, rozkosznie odrętwiająca cisza... Gdzieś wdali pastuch, wiodący bydło na nocleg, zatrąbił na ligawce. Tęskne tony niosą się po rosie, przenikają dziwną melancholją... Zamknąć się w takim zgubionem pustkowiu, zbliżyć — za życia — do ziemi, z którą już tak niedługo przyjdzie połączyć się na zawsze!... Przed wiecznym wypoczynkiem znaleźć kilka chwil odpocznienia doczesnego!...

Co za przeciwieństwo — takiego zaścianka i życia wielkich stolic — rozgorzałych walk, namiętności, cudów techniki, triumfów myśli, genjuszu... Dni, trawionych na bezustannych zmaganiach, nocy bezsennych, gwałtownych porywów i bezdennych upadków, szalu i rozpacz, bólów, trosk i rozkoszy!... Tutaj dzieje się wolno za dniem, podobny, nieśpieszny. Len daje bieliznę, samodziął z wełny — ubranie, ziemia i ogród — pożywienie... W jesienne i wiosenne roztopy wszelki związek ze światem przerywa się. Rytm życia przyrody kieruje życiem ludzi...

...Ostatnie ciepłe blaski zrumieniły bezwstydnie obnażone brzuchy pól, wzdymających się faliście za rzeką. Chłodny wiatr powiał. Wracajmy!

Przed gankiem wysiadają z bryczki Lilpop — ponury i Korkozowicz, zawsze uśmiechnięty. Nie trafili na pardwy. Jedyny łup — kilka młodych cietrzewi.

— Trudno! — tłumaczy chudy szlachcic. — Gdy nie można pojeździć, dobrze jest chociaż biczem pokręcić!

.....

Mieliśmy grać wieczorem w karty, ale Lilpop stracił do wszystkiego ochotę i idzie spać. Więc i my za jego przykładem. W nocy spadł silny deszcz, i powrotna droga do Woropajewa stała się uciążliwa. Brak szos, to nieszczęście naszych kresów wschodnich, to hamulec życia. Pocóż produkować więcej, niż na własne potrzeby, skoro wywieźć nie można? Każdy most jest zasadzką na całość

wozu i konia. Mądrzejszy Białorus omija zazwyczaj te zdradzieckie narządy. I tak się dzieje, że, gdy nieopatrzny chłop wjechał na most, i wóz wpadł mu beznadziejnie w wielką wyrwę — drugi, który przezornie pojechał obok wbród przez strumień, śmieje się z niedoli sąsiada.

— Oł, dureń! Widzi most i jedzie!

Różnica klimatu sprawia, że, mimo ostatnich dni sierpnia, owsy i jęczmiona jeszcze niezebrane. Gleba żyzna, ale uprawa roli przedpotopowa. Dać temu krajowi dobre drogi, a wnet ożyłyby senne wioski, zwiększyłaby się wydajność pracy i ziemi.

Na drodze powrotnej trafia się mokra łąka nad Hołubiecem. Wsiadamy, na łące jest trochę kszyków. Mała pukanina rozwesela serca myśliwskie, tylko Lilpop nie rusza się z bryczki. Przyjechał na pardwy, i mały bekas nie może naprawić jego humoru. Gdybyż to chociaż były dubelty!...

.....

Skoro na Oświecie pardwy zawiodły, będziemy ich szukać na mokrych rojstach siergiejewickich. Kawał drogi. Z Woropajewa 40 wiorst w stronę Mołodeczna. Wyruszamy tedy jeszcze po nocy. W Duniłowiczach, o świcie, zabieramy nowego towarzysza myśliwego, który zna teren i będzie nami kierował. Koło ósmej rano wjeżdżamy do Siergiejewic. Lokujemy się w zamożnym chutorze, który okala ładny sad. Dwie izby przestronne i chędogie. W jednej kuchnia, olbrzymi piec, kobiety. Ściany drugiej wyklejone numerami «Gazety Świętecznej», dwa łóżka, wysoko i uroczyście zaślane.

Przed chutorem zebrali się poważniejsi obywatele małego siola, proponując swoje usługi jako przewodnicy. Młodzież nieletnia została za płotkiem, dziewice i matrony, jak przystało wstydlive, z za węglów chat podziwiają nasze męskie wdzięki.

Lilpop fachowem spojrzeniem objął tłoczących się deputatów, wybrał najstarszego, kiwnął nań dostojnym gestem. Franuk Katiejka wysunął się naprzód. Wardeński rzuca nieostrożnie pytanie.

— Pardwy są?

Lilpop zachnął się w nagłej pasji i, nie pozwalając dojść autochtonowi do słowa, daje upust nagromadzonej przez dwie doby zgryźliwości.

— To panowie teraz dopiero pytają się, czy tu są pardwy? Wieciecie nas na skraj świata i nie wiecie, czy było poco?...

Wardeński umilkł, spłoszony, lecz Białorus, niezmieszany, odpowiada poważnie.

— Jest, panie, jest!

— Co jest?

— Pardwa.

— Dużo?

— Pewnie dużo. I cietrzewi moc...

Poweselały oblicza. Wyjmujemy śpiesznie broń, ten i ów sięga do kieszeni po butersznyt. Lilpop idzie z senjorem wioskowym, my z Wardeńskim bierzemy gospodarza chutoru i jego przyjaciela. Schodzimy przez rżyska ku ługom, które

ciągną się w nizinie niezmierzonym szlakiem. Poza wątlą brzezina i chojakami srebrzy się jezioro.

— Bardzo mokro?

— Wcale. W tym roku susza.

Jakoż rojst okazuje się istotnie suchszy, niż na Oświcie, i przystępniejszy. Ledwie wkroczyliśmy w niskie krzaczki, Nora zaczyna węszyć i składać się. Nagle uniosła przednią nogę dogóry i stanęła, jak wryta. Serce zabiło żywiej, broń drgnęła w rękach. Zbliżamy się szybko. Furknęły skrzydła, trzy duże ptaki porwały się z hałasem, w powietrzu zaśniły białe i rude pióra. Tak mię przejął widok nieznanych barw, że spóźniłem się ze strzałem. Wardeński strzelił, i ptak zwałił się ciężko. Mnie pardwa, lecąc nisko, przepadła za krzakiem, i strzał na chybił trafił poszedł na marne.

Nareszcie mamy pierwszą pardwę! Zaiste, piękny ptak! Dwa — trzy razy większy od kuropatwy. Barwy biało-rude. W ciągu jesieni rude pióra wypadają, i na zimę pardwa staje się tak białą, że ją od śniegu trudno rozróżnić. Nogi suto pierzem obrosłe.

Idziemy w kierunku, gdzie jedna ze spłoszonych pardw zapadła. Już pocziwy pies zaczyna węszyć, już spogląda ku nam porozumiewawczo. Wyciągnął się jak struna. Mądre ślepia utkwili nieruchomo w mchach pod krzakami brzeziny. Z hałasem zrywa się ptak. Strzelam szybko; piękny «gargatuń» (kogut) złamał się w powietrzu i spada jak czapka.

Moja pierwsza pardwa!

.....

I oto znów długie i żmudne deptanie rojstu, który bliżej jeziora staje się bardziej błotnisty i grzęski.

Spotykamy w dalszym ciągu pardwy, ale częściej jeszcze cietrzewie. W gęstym i roślejszym gaju liściastym, o kilkanaście kroków ode mnie, podnosi się z wielkim łopotem skrzydeł głuszc. Nie widzę go jednak wcale, przepadł w gąszczach. Echa oddalonych strzałów świadczą, że i innym towarzyszom powodzi się dobrze. Kiedy w popołudniowych godzinach spotykamy się w chutorze, każdy z nas ma na trokach po kilka pardw i cietrzewi. Lilpop wraca zgoła udobruchany. Senior siergiejewski niesie za nim trzy pardwy i suty bukiet cietrzewi.

Teraz znów czterdzieści kilometrów bryczką do Woropajewa. Człowiek, ogarnięty myśliwską ochotą, dużo może wytrzymać. Ale Korkozowicz podczas kolacji zasypia na twardem krześle...

.....

Lilpop, syty zaspokojonej ciekawości, wyjeżdża tejże nocy na Polesie, by tam rzeź sprawić dubeltem i kszyskom. Mnie zatrzymują gościnni gospodarze w Woropajewie, obiecując też same ptaki na Duniłowiczach.

.....



Duniłowicze, to małe i ubogie miasteczko, rozsiadłe nad dużym jeziorem. Doniedawna było siedzibą starostwa, przed kilku miesiącami jednak, dzięki skutecznym wpływom, zostało zdegradowane na rzecz Postaw. Z krótkiego okresu wielkości pozostał kompleks domów, wzniesionych znacznym kosztem według planów architektów wileńskich, a dziś już, po paru latach zaledwie, domagających się gruntownego remontu. W Polsce trudno jest o pieniądze, równocześnie przecież wydaje się je nieopatrzenie i lekkomyślnie.

Gdy się stykam z życiem naszej prowincji, zawsze doznaję wrażenia, że u nas niedocenia się wagi, jaką posiada urząd starosty. Dobór właściwych ludzi na tych stanowiskach decyduje w znacznej mierze o rozwoju kulturalnym i gospodarczym kraju, o umacnianiu się państwowości polskiej. Starosta, to opiekun i gospodarz na sporej nieraz połaci Rzeczypospolitej, bezpośrednio stykający się z potrzebami i interesami ludności. Jeśli odpowiedni starosta może zrobić wiele dobrego, to

liczy — jeszcze więcej złego. Tęgim starostą nie może być urzędnik-biurokrata, który wszystkiego się boi, unika odpowiedzialności, stara się planowo nic nie robić, by nikogo sobie nie narazić. Tęgim starostą może być tylko człowiek praktycznie doświadczony, posiadający inicjatywę, energję i szlachetną ambicję, umiejscawiający zdobyć sobie w powiecie autorytet. Zwłaszcza na kresach, gdzie w grę wchodzi jeszcze przeciwieństwa narodowościowe i religijne, *the right man on the right place* jest postulatem państwowym pierwszorzędного znaczenia.

.....

Na krańcu miasteczka sterczą smętnie ruiny spalonego pałacu hr. Tyszkiewiczów. Administracja majątku mieści się w wielkim czworaku, w którym i hr. Józef Tyszkiewicz, obecny właściciel, ma przygodną siedzibę. Spotykamy tam świetnego artystę, Kamila Mackiewicza, który tak przyrósł do kresów, że w najbardziej zapadłym zakątku spotkać go można. Teraz w Duniłowiczach rozłożył obóz i nad nowymi rysunkami pracuje.

Uradowaliśmy się bardzo wzajemnie, zaraz powstały nowe projekty myśliwskie. P. Szwoynicki, pełnomocnik hr. Tyszkiewicza, proponuje wyprawę na łąki osipowskie, gdzie mają być dubelty, kszyki i cietrzewie. Umawiamy się na następny dzień.

To już nie rojst, lecz mokre łąki na trzęsawiskach. Nogi zapadają głęboko, przy każdym kroku woda wlewa się do trzewików. Moi towarzysze brodzą w łapciach litewskich. Tutaj myśliwy natyka się często na zdradne «kożuchy», rozciągnięte nad głębszymi oparzeliskami. Gdy się taki «kożuch» zakołysze pod twemi stopami, biegnij naprzód lekko i szybko, niczem Szmolcówna na scenie!... Jeśli się zawahasz, jesteś zgubiony! «Kožuch» nie zniesie ciężaru, przerwie się — i wpadniesz po pas i wyżej w trzęsawisko.

Zdarzyło się to i mnie, i Mackiewiczowi. Wyszliśmy z opresji dzięki pomocy bliźnich, bez szwanku, ale nawet nienawidzącym mnie Skamandrytom nie życzę tych wrażeń, kiedy bezdenne, zda się, błoto rozsuwa się i ciągnie w głąb...

Dubeltów było trochę, kszyków mało, ale zato całkiem sporo cietrzewi. Nabiliśmy uczciwie szarego ptactwa, mimo, że przeszkadzał silny wiatr. Docna przemoczeni, dygocąc z zimna, wracamy (9 wiorst) do Duniłowicz. Jakies dreszcze snują się po plecach... Prędko, kieliszek wódki! Jeden, drugi, i kielhasa litewska, grzyby marynowane!... Po polowaniu dla kieliszka dobrej wódki prawy myśliwy ma nie tylko czułość, ale i szacunek; wie, że trzeba koło szkła czysto chodzić.

.....

Czekam na głównej ulicy miasteczka, bo mój towarzysz wdał się w poważną konferencję z wójtem. Słońce już zaszło, zapada zmierzch. Że to jest wieczór piątkowy, w oknach poczynają błyskać szabasowe światła. Duniłowicze, jak wszystkie miasta i miasteczka na kresach wschodnich, mają ludność nieomal wyłącznie żydowską. Żydzi tu jednak noszą się przeważnie krótko, młodzież chętnie eksponuje sportowe stroje i angielskie czapki. Tylko starsi ojcowie rodzin zostali wierni czarnym chałatom.



Źle zabrukowaną ulicą wracają śpiesznie do domu krowy, konie, kozy, rzadziej — świny, jako że niemi brzydzi się dusza starozakonna. Na chodnikach kupi się młodzież obojga płci, dużo mająca sobie do powiedzenia. Zrzadka przeciska się niezgrabnie chłop białoruski.

Dwie szlachcianki wyszły z otwartego jeszcze sklepu i, zaaferowane, śpieszą do czekającej opodal kałamaszki. Wpadły w ferworze na starego chłopą, który nie zdołał się wporę usunąć i potracił jedną z dam twardym łokciem.

— Idzie, jak parciuk — zapiszczała dama.

A druga przystanęła i z oburzeniem rzuciła:

— I potraćwszy, a nie przeprosiwszy!

Chłop zatrzymał się stropiony, szukał jakiejś odpowiedzi, zwłaszcza, że go «parciuk» zabolął, ale jałowy mózg nic nie wymyślił. Więc kiwnął głową i poszedł ciężko dalej.

Kilka kaczek swojskich wraca, pokwakując poważnie, z dłuższych kąpiel w jeziorze. Idą środkiem jezdni, kołysząc się godnie na krzywych nogach. Co moment jakaś groźna przeszkoda! To stado bydła rogatego, to konie, klusem pędzone z pastwiska — bezmyślnie tłoczące się barany, to wreszcie młode kozłeta, skaczące bez miary u boku pobłażliwych matek. Na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo, co chwila jakaś przemoc zawraca kaczki, spycha je do rynsztoka, przedłuża bez końca żmudną drogę. Już mają skrócić w wąską przecznicę, gdy paru łobuziaków, z bujnie rozwiniętymi chorągiewkami w brudnych portkach, wpada na kaczki i pędzi je wdół ulicy. Kaczki, zapomniawszy o wszelkiej godności, rozpostarły skrzydła i biegną w popłochu i z krzykiem. Ledwie się uspokoiły — już znowu kroczą zpowrotem, kołysząc się dostojnie. Jeszcze krowa je rozproszyła, wóz najechał — już są na rogu przecznicy, już skręcają. Taka radość je zdjęła z pokonania szkopulów, że, wyciągnąwszy się w sznur, klusem wpadły w otwartą bramę domostwa.

Wytrwałość zawsze zwycięża.

Kilka wieczornych wypraw łódką na złoty kaczek... Rozległe jeziora, wszyte w las, porośnięte u brzegów wysoką trzciną... Niebo zwolna przysłania się szarą mgłą... Cisza, bezbrzeżna cisza... Łódka płynie jak we śnie, bez najlżejszego plusku wiosła...

Z gęstego sitowia zrywa się lekko i bez hałasu kilka krzyżówek. Huknęły strzały. Jakżeśmy to, kochany Kamilu, spudłowali do jednej kaczki, która podniosła się z przed dzioba łodzi? Korkozowicz przez dwa dni wymawiał nam tę zbrodnię. Myśliwy litewski nie może przebaczyć chybionego strzału. Gdybyż z równym zapalem opiekował się zwierzyną! Byłoby jej więcej, strzał byłby częstszy, i pudło mniejby raziło. Ale na kresach wschodnich przeważnie jeszcze opieka nad zwierzyną nie istnieje. Poluje się przez rok okrągły. Każdy ma fuzję i każdy strzela, gdy ma do czego, nie bacząc na porę, ani na to, do kogo teren należy. Nawet rzekomo kulturalny myśliwy nie waha się strzelać do dubeltów podczas toków, że ich wtedy więcej zabić można! Więc zwierzyny ubywa...

— Ot, moja zemsta, kochany towarzyszu łowów, za drwiny z powodu owego skandalicznego pudła!

JARZĄBKI

LUTOWE słońce zmyło z gałęzi wysokich sosen śnieg, który cienką warstwą, niby biały dywan, zalegał jeszcze knieję. Ranek tchnął weselem i radością. Lekki mróz pobudzał ochotę do życia, barwił twarze czerstwym rumieńcem. Młodzi myśliwi pozrzucali kożuchy i bekiesze, zwartem kołem okrążyli młodą pannę, która nie zawahała się towarzyszyć im do kniei.

— Nie zimno pani?

Ona śmiała się, potrząsała śliczną główką.

— Gorąco!

Z pod lutrowej czapeczki wyzierały kasztanowate włosy, oczy niebieskie, jak wody Horynia. Była wysoka, strzelista, w ruchach zwinna. Wszyscy się do niej uśmiechali z wdzięcznością dla jej urody i powabu.

Zwierzyny w tej kniei poleskiej było mało. Gospodarz obiecywał dziki i kozły, mówił nawet o parze łosiów, które jakoby widziano na pobliskich mokradłach. W rzeczywistości jednak spotkano tylko parę kóz, które wyszły na flank, i jednego bielaka. Syt życia w tym jałowym lesie, wyszedł na myśliwego, usiadł przed nim na piętnaście kroków i wyczekał cierpliwie, aż go strzał na śniegu rozpląszczył.

Jeden zwłaszcza z młodszych myśliwych, zgrabny, rosły dryblas o szerokich barkach, szczególnie łakomym wzrokiem obejmował czarującą postać panienki. Ślepią mu się do niej śmiały w niepohamowanej ochocie — aż ją te spojrzenia parzyły.

— Co się pan tak na mnie patrzy? — spytała butnie. — Nigdy mię pan nie widział?

— Mnie się zdaje zawsze, że widzę panią po raz pierwszy. Bo za każdym razem wydaje mi się pani inaczej piękna.

Panienka poruszyła się niecierpliwie.

— E! Z panem nie warto rozmawiać!

Nie obraziła się przecież, bo zgodziła się pozostać z nim w następnym miocie na stanowisku. Gospodarz zapewniał, że dziki «powinny być tutaj», zaś ojciec panny orzekł, że wobec tego samej nie zostawi.

— A nuż odynieć rzuciłby się na ciebie? Taki stary, kosmaty, z szablami jak tyki!...

Panienka przyłożyła sztucerek do ramienia.

— To ja do niego: paf! prosto w komorę — i już leży!

Z tego paf! wszyscy śmiali się wesoło. Ojciec ucałował dziewczynę, radząc wziąć i dubeltówkę, że prędzej coś drobniejszego zdarzyć się może, niż owe legendarne dziki. Młodzieniec wziął broń; poszli, przekomarzając się swawolnie. Gospodarz wziął ojca panienki pod ramię i szepnął:

— Trzeba przyznać, że para z nich — jak uła!

— Bóg raczy wiedzieć!...

Na wyznaczonym stanowisku młodzieniec ustawił krzeselko na trzech nogach, sprawdził troskliwie, czy się nie chyboce.

— Niech pani siada.

Panienka śmiała się.

— Za nic w świecie. Niech tylko naganka się odezwie, mnie już niesie... Zdaje mi się, że zaraz z krzaków coś wyskoczy...

— Dzik... niedźwiedź!...

— Ja pierwszy raz w kniei poleskiej... U nas, w Poznańskim, las całkiem inny...

— Podoba się pani tutaj?

Spojrzenia ich spotkały się, poważniejąc.

— Bardzo!

On w naglej, niepohamowanej radości chciał coś mówić, lecz wdali odezwały się trąbki, i zaraz potem, stłumione przez odległość, wołania naganiaczy.

Panienka rzekła miękciej.

— Cicho! Naganka ruszyła.

Ale wynagrodziła go spojrzeniem z pod ciemnych rzęs, w którym było tyle życzliwej tkliwości, że chłopiec ledwo opanował się, by nie runąć jej do stóp.

Stali teraz, nic nie mówiąc. Od czasu do czasu tylko wymieniali uśmiechy i spojrzenia. Las był pusty, żadne żywe stworzenie nie zakłócało jego majestatycznej powagi. W skupionym milczeniu mijały długie chwile.

Wtem młody panicz poruszył się, nadstawił uszu. Czujny jego słuch rozeznał w krzewinach, podszywających opodal knieję, leciutkie pogwizdy.

— Wabią się! — szepnął.

Panienkę obleciało wzruszenie myśliwskie.

— Co?

On nasłuchiwał uważnie.

— Niech pani weźmie dubeltówkę.

Ostrożnym ruchem wyjął jej z rąk sztucerek, oparł wraz ze swoim cicho o pień sosny, podał fuzję.

Ona zachnęła się niecierpliwie.

— Ale co?

— Jarząbki!

I położył palec na ustach.

Milczeli, nieruchomi, gotowi do strzału. Panienka w napięciu oczekiwania

czuła dopływ gorącej krwi do skroni. Broń drżała lekko w małych dłoniach. Serce biło gwałtownie.

Dotknął jej ramienia.

— Tam!

Zwróciła oczy i wśród pomniejszych sosenek dojrzała nagle dwa przelatujące szaro-brunatne ptaki. Goniły się niefrasobliwie, choć śpiesznie, nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Zniknęły wśród gałęzi. Jeden znów burknął znenacka, przeniósł się na wysoką sosnę. Panienska już chciała złożyć się. Panicz zatrzymał ją. Wnet i drugi jarząbek przefrunął. Teraz oba usiadły na jednej gałęzi, niedalej, jak o czterdzieści kroków — spokojne, rozochoczone słońcem, w którym już tały się przedwczesne zapowiedzi wiosny. Gonił je pociąg wzajemny — prawo natury, jednakie dla ludzi i zwierząt, podświadome pragnienie życia we dwoje, wspólnego gniazda, małych piskląt, które odkarmić trzeba i wychować. W leśnej społeczności jarząbek, naprzekór rozpustnym głuszcom i cietrzewiom, jest wzorem wierności małżeńskiej.

Dwie pary, spragnione wspólnego szczęścia. Jarząbki — i ludzie!

Panicz, nie otwierając ust, szepnął przez zęby:

— Pani prawy, mój lewy.

Szybko zmierz yli. Huknęły równoczesne strzały. Coś uderzyło mocno o ziemię.

— Są!

On już niósł w triumfie martwe ptaki, zwieszające bezwładnie czarne, krótkie dzioby. Panienska oglądała je ciekawie.

— Pierwszy jarząbek!

Niebieskie oczy świeciły radością z odniesionego triumfu.

— Ani drgnęły! Spadły jak czapki.

Panicz odparł:

— Może to już taki dobry omen, że właśnie ze mną...

Umilkł, i jego ciemne ślepie wszczepiły się w pokraśniale wargi panienski. Bezwiednym gestem przygarnął ją, spojrzeli na siebie głęboko, jakieś westchnienie przeszło młode piersi, i nagle usta zwały się w pierwszym, długim pocałunku. Jarząbki wypadły z ręki panicza na biały kobierzec śnieżny...

NA GRUBEGO ZWIERZA

WCZESNYM rankiem pociąg wpada na stację Łubień, o parę godzin drogi za Brześciem. Jeszcze ciemno. Po niedospanej nocy, cokolwiek osędziali, z trudem wyładowujemy kuferki, walizki, broń, niezliczone przybory myśliwskie. Czy wszystko?

Już gwizdawka rozdziera powietrze. Wagony stęknęły i ruszyły. Pociąg niknie w mroku. Zostaliśmy samotni na cichej, sennej stacji. Od wschodu widnokrąg zaczyna błednać. Gwiazdy pogasły. Parę lamp łukowych jarzy się niebieskawem światłem. Choć mróz niewielki, chłód dojmuje. Idziemy na herbatę do bufetu, mieszczącego się w malej i ciasnej izdebce. Lada moment ma przyjść lokomotywa z wagonem, by wąskotorową kolejką leśną zawieźć nas w głąb kniei, do Michalina.

Ale już niebo płonie rumieńcami. Nad kominami domostw rozsnęły się pióropusze dymów, zaskrzypiały żórawie studzienne, a tam i sam ozwał się ryk ockniętego ze snu bydła — lokomotywy nie widać. Rada w radę, zdobywamy małą drezynę. Braknie jej platformy — układamy deski. Umocowujemy je gwoździami. Każdy chwyta za swą broń, naboje. Walizki i kufry przyjadą później. Dwóch chłopaków drągami popycha wózek, który — z górki — toczy się po szynach dość szybko. Ale, gdy trzeba wspinać się conieco pod górę, musimy zeskakiwać na tor, by ulżyć «motorom».

Tak przebywamy 8 wiorst. Pod Sielcem spotykamy wreszcie nieszczęsną lokomotywę, taszczącą cały tabor wagonów z drzewem. Wyzwalamy ją co rychłej na zwrotnicy, doczepiamy naszą maleńką drezynę. Paru myśliwych wciska się na parowóz, reszta — ja w tej liczbie — obsiadamy jak wróble pokład drezyny. Ruszamy szparko po grobli. Dym szczypie w oczy, mróz w nogi. Strach, by w szybkim pędzie nie spaść w bagno, trzyma w napięciu nerwy.

Ponad ciemną zielenią świerków, na sinem tle nieba, pojawiają się szare dymy. Chwała Bogu! Wyłania się mała osada leśna. Czekają furmanki — wózki, w jednego zaprzężone konika. Przesiadamy się śpiesznie. Jeszcze pół godziny uciążliwej drogi, i jesteśmy w leśniczówce. Wpół do dziesiątej. Prędko, śniadanie, i do kniei! Trzy godziny zmarnowane!

Już jesteśmy w kniei. Wąska ścieżyna, ledwie widoczna wśród zeschłych traw, stanowi linję myśliwych. Stanisław Lilpop półgłosem powtarza regulamin:

— Pierwszy strzał do grubego zwierza. Wilk, ryś, dzik, jeleń, kozioł. Do łosi i głuszców nie strzela się. Po strzale można łupić do zajęcy, cietrzewi i jarząbków.

Długim sznurem, w pełnej skupienia ciszy, suniemy ścieżką. Co kilka minut odrywa się myśliwy, zajmując wyznaczone stanowisko. W tym rewirze knieja jest dość sucha. Wrzosowiska i obnażone różdżki brzeziny szaro-różową mgłą ścielą się do stóp świerków i sosen!

Odezwała się trąbka. Odpowiadają jej niby echa dalekie, ledwie dosłyszalne trąbki leśniczych, którzy prowadzą naganę.

Z poszumem wiatru niosą się przytłumione wołania naganiaczy. Sztucer w rękę, dubeltówka oparta o pień — ucho słucha pilnie najlżejszego szmeru, oko stara się przedrzeć ciemnię zarośli...

.....

Miot idzie za miotem, same zawody. Były w ostępie jelenie, przerwały się przez naganę. Psy gonili dzika, przepadł gdzieś w gąszczach trzin i w wertepach zwalów i wykrotów. Górą przesuwają nad nami często wspaniałe głuszcze, niby czarne aeroplany, lecz do nich strzelać nie wolno. Jedyne weselsze intermezzo stanowi duże stado cietrzewi, które przeciągnęło wzdłuż paru stanowisk. Rozległa się huczna kanonada. Kilka kogutów spadło.

Ale to mało. Przyjechaliśmy do tej dalekiej kniei, by spotkać się z grubym zwierzem...

Wpobliżu wabią się jarząbki, drze się żołna, znów przeleciało szybko i cicho parę głuszców. Ogarnia mnie coraz wszechwładniejsze znużenie. Gdy myśliwy nie widzi zwierzyny i nie strzela, męczy się rychło. Najcięższe wysiłki znosi bez trudu, gdy nerw myśliwski trzymany jest w napięciu. Celny strzał, radość z odniesionego triumfu — wnet odrętwiałe członki odzyskują sprężystość, serce bije mocniej, budzi się ochota myśliwska, pragnienie nowych wrażeń i nowych zdobyczy. Niestety! dla mnie ten pierwszy dzień łowów w Michalinie był doszczętnie niefortunny. Nie złożyłem się ani razu. Tem silniej odczuwam nieprzespaną noc i dzień, spędzony w kniei. Nogi ciężkie, w karku lekki ból, łeb stępieły, już na wszystko zobojętniały. Ten stan fizyczny i moralny znają dobrze żołnierze, gdy im każą odbywać beznadziejnie długie marsze...

.....

Sina bladeść nieba zaczyna osnuwać się ciemnym woalem. Nie udał się pierwszy dzień łowów. Gajowi mają miny posępne, naganiacze wyczerpani. Ot, polowanie «po czarnej stopie», bez śniegu!

Ostatni miot. Mam stanowisko na piaszczystej drodze, która w tym miejscu znacznie się rozszerza. Przede mną las dobrze podszyty, coraz bardziej ciemniejąca, zwarta ściana. Za mną nieco rzadsze chojaki i świerczyna.

Skryłem się zacnie za dwiema sosenkami, usadowilem wygodnie na myśliwskim siodelku. Mrok gęstnieje. Strzelać będzie trudno, zwłaszcza, że naganka marudzi. Już wcale ciemnawo, gdy odzywają się trąbki i, wślad za nimi, zleni-



wiale pokrzyki. Czuję się wprost niehumanie wyczerpany. Raz wraz przymykają się powieki, ogarnia senność, jakieś potworne widziadła jawią się w mózgu, siodelko chwieje się... Ocknąłem się, wstałem, odrzucam stołek. Boję się usiąść, by na drodze nie zasnąć. Ale ta walka ze znużeniem podrywa nerwy, wprowadza je w stan podgorączkowego rozdrażnienia. Wszystko dokoła nabiera kształtów niesamowitych. Co chwila sztucer drga w rękach, sam, zda się, Ignie do ramienia, by walić do snujących się w gęstwinie potworów.

Zbliżają się wołania naganki. Psy zaczynają w miocie zajądło szczele. Naprzód dwa. Potem jeden zacichł, drugi nie przestaje. Szczekanie zbliża się w moim kierunku. Co to być może? Chyba dzik. Wilka pies się boi. Nie gonilby. Ściskam mocniej sztucer, oczy wpijają się w czarną już prawie gęstwinę lasu. Nagle szczekanie cichnie. Co się stało?

W tej chwili, o jakie trzydzieści kroków ode mnie, wysuwa się z gęstwy chudy zwierz. Już sztucer przy ramieniu. Palec zatrzymał się na cynglu. Pies? Błyskawiczne myśli krzyżują się. Zabić leśnikom psa? Drwiny myśliwych... A jeśli to wilk? Zwierz krótkim galopem, niby tajemniczy cień, sunie wzdłuż lasu. Gdyby chciał przebiec drogę, nie zawahałbym się. Więc pies? Wydaje się większy, niesamowity... Już mam pociągnąć za cyngiel, zwierz wpadł zpowrotem w gęszcz zniknął jak zjawy chorej, gorączkującej wyobraźni.

Wszystko to trwało nierównie krócej, niż opowiadanie. Kilka sekund.

Wilk? Bies czy pies? A może wprost chorobliwa zjawy?

Z lasu wychodzą naganiacze. Pytam się, czy nic nie widzieli.

— Nie. W miocie nic nie było.

— A psy jednak szczele!

— Szchele, pane, taj nie wimy, czemu...

Ściągają myśliwi, dążący do furmanek. Nie mówię nic o przygodzie. Żre mię niepokój. — A jeśli to był wilk? Jeśli to była owa jedyna nieraz w życiu myśliwego sposobność?

Przy obiedzie opuścił mię humor, cichaczem dezerteruję przed czarną kawą. Jestem zresztą tak beżmiernie strudzony, że ledwom się znalazł na wąskim łóżku polowem, kamienny sen przeciął odrazu tok rozmyślań.

...Nazajutrz wczesnym rankiem budzą nas głosy trąbek myśliwskich za oknami. Jeszcze ciemno. Szybko ubieramy się, śpiesznie spożywamy śniadanie. Ten i ów wsuwa kawał chleba z szynką do kieszeni. Wrócimy do leśniczówki dopiero pod wieczór.

Na dworze lekki przymrozek. Wózki już czekają. Traktem przez las ciągną grupy zapóźnionych naganiaczy. Jedziemy przez knieję kilka dobrych wiorst, wysiadamy wreszcie na łączce bagnistej, rzadka haszczami poszytej. Zamyka ją kanał głęboki, niezamarzły. Po wąziutkiej, śliskiej i chwiejącej się kładce przepławiamy się na drugą stronę. Pan Stanisław Lilpop nakazuje bezwzględną ciszę. W tych właśnie ostępach są na pewno wilki i dziki, może ryś.

Ciągniemy tedy gęsiego ledwo widoczną ścieżką wśród zeschłych trzciny i traw — ścieżyną, którą raczej wyznaczył zwierz dziki, niż ludzie. Dżungla poleska

staje się coraz niesamowitsza. Bagna, trzęsawiska i bajory, teraz zamrożnięte! Co kilka kroków zmurszałe wykroty i zwały. Człowiek, zda się, nigdy tu nie bywa.

.....

Zgryzota wczorajszej przygody nie daje mi spokoju. Zainteresowały mnie szczególnie psy leśników, puszczone w głąb miotów. Przyglądam się im bacznie. Stanowczo mniejsze. — Więc to był wilk? O, św. Hubercie!

.....

Pierwszy miot zawiódł, choć wilki niewątpliwie tłukły się w gąszczach. W następnym zakładzie mam stanowisko za kępą sośniaków. Las jest dość rzadki w tym miejscu błotnistym, ale bujna i wysoka trzcina nie pozwala sięgnąć okiem dalej. Grunt jest grząski. Mimo parostopniowego mrozu, stopy zapadają głęboko.

Już zajęczały trąbki, ozwały się ledwie dosłyszalne wołania naganiaczy. Zerwał się gniewnie wiatr i zbudził knieję. Poruszyły się sosny i świerki, ciężko westchnęły, zaszumiały groźnie. Ta muzyka kniei ma w sobie czar nieujęty. Jakże odbija swą religijną niemal powagą od krzykliwych środowisk wielkomiejskich! Tu, w zeknięciu z surową przyrodą, w długich, milczących rozmowach z samym sobą, człowiek łatwiej odnajduje swą prawdziwą duszę. Odrywa się od gorączki powszednich trosk, pragnień i zmagań, staje się znowu mikroskopijną cząstką tej kosmicznej potęgi, z której wyszedł i do której powrócić musi. Tutaj zaczyna myśleć — bez lęku i niepokoju — o śmierci, która jest przecież najważniejszym wydarzeniem życia. Uczucie ciszy, samotności i opuszczenia, którego doznaje się w głębi kniei poleskiej, pobudza do rozmyślań. Tutaj, o mądry Montaigne'u, łatwiej obcuje się ze śmiercią i łatwiej rozumie się, że śmierć nasza jest jednym z czynników porządku świata, jest cząstką życia tej ziemi. — Czemuż nie chcesz odejść, jak syty biesiadnik z ucztą żywota? — pytał Lukrecjusz...

.....

Na prawo, dość daleko ode mnie, huknął strzał. Jeden, krótki, suchy. Na tych polowaniach w puszczy każdy strzał czyni wrażenie, z każdego strzału trzeba się później wylegitymować. Kto strzelał? Do czego? W jakich warunkach? To nie polowanie na zające, gdzie nikt nie liczy nabojów, ani pudeł!

Jakiś cień mignął przede mną w dalekich trzcinach i zniknął. Już sztucer przy ramieniu, serce łomocę w piersiach, oczy usiłują przedrzeć żółtawą gęstwę. Wierzchołki traw poruszają się zlekka, nie widzę jednak nic. Cień znów mignął wyraźniej, ale już tak blisko krętej linii myśliwych, że strzelać niebezpiecznie. Teraz dojrzałem. Dzik, spory wycinek, szoruje wśród wysokich traw, w odległości jakichś sześćdziesięciu kroków. Puszcza go za linję. Skręcił na prawo, przekłęty wieprzak! Nie widzę go już wcale, tylko w miejsce, gdzie poruszają się trzciny, posyłam kulę. Wraz odzywają się dwa strzały mego sąsiada, ku któremu dzik wykręcił. I znów cisza...

Wyraźniej słyhać krzyki naganki, podnieconej widocznie strzałami. Na lewo, o paręset kroków, rozlegają się dwa strzały. Zawył wilk tak przeraźliwie, że knieja wstrząsnęła się ze zgrozy. Dostał! Padają dwa nowe strzały. Widocznie mój sąsiad dobija zwierza. I jeszcze dwa. Co się stało?

.....

Z gąszczów wylaniają się ocieźałe sylwety Poleszuków. Już wiadomo. Na sąsiada z lewej strony wyszła duża wilczyca. Padła po pierwszych strzałach, ale wlokła się, szczerząc zęby. W gąszczach trudno było mierzyć, dopiero po kilku nowych strzałach wilczyca rozciągnęła się martwa. Mój sąsiad z prawej strony szuka tropów dzika. Uszedł. Brak śniegu nie pozwala dokładnie stwierdzić, czy był postrzelony. A ów strzał pojedynczy? Dowiemy się rychło. Pan Tadeusz L. zrulował w ogniu olbrzymiego wilka, starego, wspaniałego basiora o czarnej pędze na grzbiecie, o kłach olbrzymich... Wilk wyszedł na niego na 25 kroków.

Zniesiono trofea. Paru chłopaków rzuca się z nienawiścią na okrwawione wilki, wali kijami. Do gardzieli psy się dorwały z taką zawziętością, że siłą trzeba je odrywać, aby nie poszarpały futra...

Ale już pędzą nas dalej. Prędko, prędko, bo dzień krótki.

Stoimy nad kanałem, głęboko werżniętym w ziemię. Krajobraz ciągle ten sam. W tym rewirze jest mnóstwo głąszców. Nade mną przeleciał dziesiątek. Jeden nieomal nad głową.

Strzał na prawo. Po chwili drugi. Między dwoma stanowiskami szedł ostrym pace'm duży wycinek. Pierwszy myśliwy spudłował, drugi, p. K. przepuścił dzika przez kanał i pięknym strzałem zwałił go na krótkiej haliznie, po drugiej stronie. Lekkość, z jaką ten czarny wieprzak śmignął przez kanał, była wprost zdumiewająca.

.....

Dwa wilki i dzik! Łup obfity. Po obiedzie uroczystość myśliwska. Młody p. Tadeusz L., który zabił pierwszy raz w życiu wilka, zostaje pasowany przez Stanisława Lilpopa na rycerza św. Huberta.

Ucichł gwar rozmów przy stole. Wniesiono olbrzymie cielsko zabitego zwierza. Młody myśliwy ukląkł pobok. Ojciec chrzestny przemówił krótko, kordelasem dźgnął wilka. Okrwawioną klingę przykładą do policzków i czoła młodego rycerza. Ten powtarza rotę ślubowania...

Trzeci dzień łowów znów nieudały. Były w miotach i wilki, i dziki, lecz na linję myśliwych nie wyszły. Psy goniły łochę (klepę) z młodym łosiem. W pewnym ostępie znaleźliśmy na lodzie zamarzniętych bajorów świeżutkie tropy rysia. Jest ich parę w tym lesie, ale chodzą szeroko, ostrożne są niebywale. Przede mną, w rzadkim, wysokopiennym lesie przedfilowało kilka wspaniałych sarn. Kozła między nimi nie było. Sarny są tutaj większe i mocniejsze, niż w Królestwie. W nieustannej walce z wilkiem i rysiemi, przy życiu utrzymują się tylko sztuki wyjątkowo ukształtowane i rozwinięte.

Trochę drobnego zwierza. Zające, cietrzewie, jarząbki. Mnie przypadł w udziale biały zając — tak świetnej białości, że, gdym szedł go szukać po strzale w gąszczach, wydawał się kupką śniegu...

.....

Nie poszczęściło mi się tym razem. Wieczorem wracamy do Łubnia, stamtąd nocnym pociągami do Warszawy. Lecz mimo niepowodzenia, nie oddałbym tych wrażeń za kilkadziesiąt zajęcy lub bażantów. Zbliżenie się do pierwotnej natury ma niewysłowny urok. Wysiłek fizyczny, jakiego te łowy wymagają, napawa otuchą, czyni raźniejszym.

O, puszczo poleska! Raju myśliwych! Gdybyż w twoich gąszczach było jeszcze trochę więcej zwierzyny!

LATEM NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM



POCIĄG wpada dość wczesnym rankiem na maleńką stacyjkę, zaszytą w zieleni starych dębów. Chybie! Nasz wagon śpiesznie odczepiono, pociąg pomknął rażno ku bliskiej granicy czeskiej. Zjawia się zatroskany zawiadowca w krótkiej, austriackiej kurtce, zaniepokojony, ubolewający. Spodziewano się przybycia p. ministra rolnictwa dopiero o 10-tej rano. Dziedzice nie dały znać. Słowem, fatalność!

Pan Niezabytowski uśmiecha się pobłaźliwie. Aby tylko pojazdy sprowadzono co rychlej! Jak daleko do owych stawów, na których oczekują nas dzikie kaczki? Dwadzieścia minut drogi. Nie potrzebujemy gwałtować!

Niebo zasnuwane szaremi, nasiąkłymi deszczem chmurami nie wróży pomyślnego dnia. Ejsmond stwierdza, że już kropi. Lecz, jako urodzony optymista, zapowiada, że «to przejdzie». Idziemy na herbatę do kancelarii p. zawiadowcy. Herbata cienka, cokolwiek sianem tutejszych dorodnych łąk pachnąca. Jesteśmy w kraju piwa, nie herbaty. Bielsk, Cieszyn, Żywiec prześcigają się w dobroci tego trunku.

Zajeżdżają powozy i wygodne, resorowe bryczki. Mijamy schludne i poważne zabudowania cukrowni, pojazdy suną szosą, dobrze z dwóch stron ocienioną. Kraj tchnie zamożnością. Osiedla obszerne, murowane, podszyte sadami. Drogi i mosty doskonale. Stare kilkusetletnie dęby świadczą o dawności kultury. Śląsk Cieszyński! Polować będziemy na terytorjach dóbr, które należały do słynnego arcyksięcia Fryderyka. Teraz stanowią własność państwową.

Optymizm Ejsmonda zwycięża. Szarzyzna nieba zaczyna się rozklejać, tu i ówdzie pokazują się światlejsze miejsca, wytknął się rąbek czystego lazuru. Powietrze przesycone wilgocią. Ciepło. Na skrzyżowaniu dróg spotykamy oczekujących nas urzędników leśnictw, naganek. Raz wraz z różnych stron nadjeżdżają samochody i powozy z zaproszonymi gośćmi. Zielone kapelusze tyrolskie, fantazyjne stroje myśliwskie, wszystko «pachnie» Zachodem. Piękną, barwną plamą wyróżnia się jedna bardzo czerwona kamizelka. Przybywa i starosta miejscowy, by oficjalnie powitać pana ministra. Że nie myśliwy, odjeżdża wkrótce.

Nas zaś prowadzą pp. leśnicy na wąskie groble, wcinające się w rozległy kompleks stawów, a zarośnięte gęsto jerzynami. Słodkim jagodom zawdzięczać będzie życie niejedna kaczka: odwracają uwagę najbardziej nawet zapalonych myśliwych. Staw, nad którym rozpoczynamy polowanie, jest wprost imponujących rozmiarów. Szczelnie zarośnięty sitowiem, tatarakiem i wysokimi trawami, zdaje się być zupełnie martwym. Tylko jaskółki gęsto koziolkują w powietrzu w łamańcach, które długo jeszcze dla lotników będą nieosiągalnym rekordem. Staw zdaje się nie chronić żadnego żywego stworzenia.

Ledwo jednak naganiacze, uzbrojeni w długie kije, weszli do wody, cicho i przezornie poczynają zrywać się ogromne stada krzyżówek. Wznoszą się ostrym łukiem w górę i dopiero na znacznej wysokości formują szyki, by odlecieć dalej, w bezpieczne pustkowia. Gdy mijają linię stawu, obsadzonego myśliwymi, hukają pierwsze strzały. Rozpoczyna się piekielna i nieustająca kanonada. Kaczki ciągną tak wysoko, że szanse zabicia ptaka są znikome. Lecz myśliwych ogarnął szal. Nikt nie zastanawia się nad odległością, która zresztą niełatwa jest do określenia w linii powietrznej. Ostatecznie, kaczkom dzieje się krzywda niewielka, a fabryki nabojów zyskują. Jest to akcja nietylko myśliwska, ile popieranie przemysłu krajowego...

I ja zresztą daję się pociągnąć tej pasji. Zmarnowałem dwa dziesiątki nabojów z bardzo nikłym skutkiem, bo kaczki szły daleko. Obok mnie min. Niezabytowski ładnymi strzałami strącił kilka krzyżówek. Pod koniec miotu pomszczono się na łyskach. Padło ich sporo. Myśliwi tutejsi twierdzą, że mięso łysek jest doskonale, byle tylko zdjąć zeń zawczasu skórę i tłuszcz, które czuć tranem.

.....

W następnym miocie daje się postrzec ogólne otrzeźwienie. Gorączka minęła, a z nią i manja odległości. To też coraz widzi się krzyżówkę, spadającą w koziółkach do wody. Kilka dobrych wyłłów aportuje zwierzynę. Pojawiają się większe stada cyranek i cyraneczek. Strzały przeważnie są trudne, bo kaczki podnoszą się wysoko, płoszy ich najłżejszy ruch myśliwego. Jednak łup jest wcale — jak na te okolice — obfity. Prócz kaczek, zabijam dwa małe bąki i kurkę wodną. Mam także na rozkładzie jedną ładną pogorzałąkę.

Śniadanie spożywamy na szerokim trawie, obramowanym dwoma rzędami starych dębów. Ten, pod którym przypadło mi miejsce, liczy sobie co najmniej ze trzy wieki. Jest czerstwy i świeży, przeżyje jeszcze wiele ludzkich pokoleń. Czemu, piękny dębie, dostojny szum twych gałęzi jest dla mnie mową niezrozumiałą! Ileż ciekawych rzeczy mógłbyś opowiedzieć, jakich to wydarzeń, na tej drodze tylko, poprzez setki lat byłeś świadkiem?...

Śniadanie skromne, lecz obfite. Wędliny cieszyńskie — jakże różne od litewskich! — doskonale. Szynka — niczem praska, a kielbaski parowe nie ustępują najlepszym wiedeńskim. Piwo — również cieszyńskie — przypomina pilznera. Wódki prawie nikt nie pije. Jesteśmy na kresach zachodnich!

Teraz najlepsze oczekują nas stawy, wglęzione w skraj ciemnych lasów. Za lasami lekkie, błękitne pasma Beskidów. Wyższe — już po stronie czeskiej. Krajobraz łagodny, czaruje spokojnym wdziękiem. Naganiacze, młode wyrostki — ubrani niezgorzej, choć pewno w najbardziej zniszczoną odzież, mają twarze rozgarnięte, z oczu błyska im wesoły spryt i bystrość. Mówią po polsku czysto, lepiej, niż niektórzy starsi leśnicy, i nawet niż niejeden myśliwy — którym z ust nie schodzi «ja! ja!!» i których twarda wymowa pozwala się domniemywać, że język niemiecki był tutaj niedawno jeszcze panujący.

Od strony gór skłębiły się nagle ciężkie, granatowe chmury. Jęły sunąć szybko wprost na nas, lunął rześisty deszcz. Skryliśmy się w krzakach i pod dębami: ten i ów zmókł nienagannie. Nie zepsuło to nikomu humoru. Kanonada coraz żywsza. Strzały coraz celniejsze. Czasem gorączka myśliwska płata figle. Zrywa się wielki bąk, wolnym lotem ciągnie w kępę drzew, gdzie stoi kilku myśliwych. Zagrzmiały pośpieszne strzały. Wszyscy strzelili naraz — i wszyscy spudłowali. Lecz oto podniósł się taki sam drugi. Tego p. Niezabytowski trafny, dalekim strzałem spuszcza odrazu na wodę. Piękny okaz, większy od bociana.

...Już przedwieczorne opary zaczynają osnuwać pajęczyną stawy i łąki. Rozłożono ubitą zwierzynę przy drodze. Niespełna sto sztuk. Oto wynik pracowitego dnia! Powozy zajęchały. Pora jechać, by chwycić lokalny pociąg do Dziedzic. Tam już zjemy kolację na dworcu.

Kolacja smaczna. Jeden z myśliwych, zachęcony widokiem wcale efektownego pomnika, na który patrzymy przez duże okna, proponuje przechadzkę «po mieście». Żyłka turystyczna! Ulegamy namowie. Wychodzimy z sali restauracyjnej na plac.

— Którędy idzie się do miasta? — pytamy posługacza kolejowego.

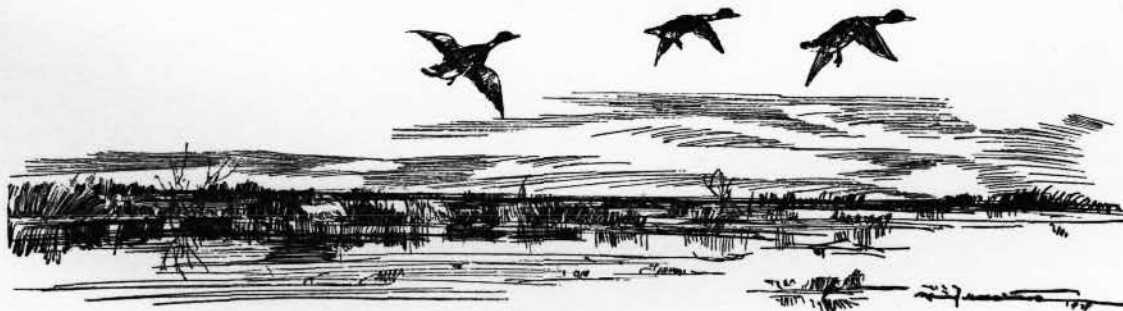
Ten patrzy na nas zdumiony, jakgdyby nie rozumiał.

— Gdzie jest główna ulica? — próbuję wyrazić się ściślej.

— Ach, główna ulica! — uśmiecha się posługacz. — Tutaj, proszę, niema wcale głównej ulicy. Miasta też niema.

Kilkanaście domów przy stacji, trochę sklepów, parę hoteli... Kto, u kata, zatrzymuje się w tej dziurze?

Powstrzymani w eksploratorskich zapędach, wracamy ułożyć się do snu w wagonie, który nas zpowrotem powiezie do Warszawy.





BYŁA północ, gdy pociąg wsunął się, ciężko sapiąc, na senną stację. Pan Baltazar Miksztunowicz wyskoczył z wagonu. W ręce trzymał niewielką torbę starodawnego kształtu, przez ramię miał przewieszoną fuzję w skórzanym futerale. Nie miał czasu rozejrzeć się w ciemnościach; już na ramieniu jego spoczęła żylasta dłoń Melchjora Miksztunowicza, który po brata przyjechał. Powitali się krótko, ale w oczach obu błysnęła czułość, wstydliwie tajona.

— W domu wszyscy zdrowi? — zapytał pan Baltazar.

— Dzięki Bogu! — odrzekł pan Melchjor. Wyciągnął rękę, by odebrać torbę. Pan Baltazar zachnął się, nie oddał. Przeszli przez zabudowanie stacyjne, wsiedli do oczekującej bryczki. Noc była letnia, tchnąca świeżą wilgocią, niebo usiane gwiazdami. Bryczka wnet skręciła w rzadki las, otaczający stację, i zaczęła podskakiwać na palikach, którymi droga była wymoszczona. Panowie zapalili papierosy.

— Cóż w Warszawie? — zagadnął pan Melchjor.

— Jak było, tak i jest — odparł pan Baltazar. — Żle, ciasno i nudno A tutaj?

— Wlecze się. Gdyby nie podatki!...

Lecz pan Baltazar, obawiając się szczegółowych wyrzekań, odwrócił rozmowę.

— Cietrzewi dużo?

— Owszem. I młode kaczki całkiem dojrzały...

Pan Baltazar uśmiechnął się.

— A kszyki?

— Także są. Tylko dubeltów ani śladu.

— Nie tak, jak w Miksztunach!

Pan Melchjor westchnął, spojrzaniem pogonił w mroczną dal.

— Ba! W Miksztunach!

.....

Panowie Melchjor i Baltazar Miksztunowicze życie spędzili w rodzinnych Miksztunach, na głębokiej Mińszczyźnie, i w serdecznej niezgodzie. Kochali się i kłócili. Pan Melchjor, starszy o parę lat, był żonaty, miał dwoje dzieci. Gospodarował i polował. Pan Baltazar trwał w kawalerstwie, trudy gospodarstwa zostawiał bratu. Czas trawił niemal wyłącznie na myśliwskich zabawach. Mieszkał na folwarku, na obiad przyjeżdżał do braterstwa.

Zamiłowanie łowieckie łączyło braci, lecz zarazem było źródłem ustawicznych sporów, kłótni i nieporozumień. Dzieliły ich także różnice poglądów politycznych. Pan Melchjor wyznawał zasady liberalne, republikańskie. Pan Baltazar był zwolennikiem oświeconego absolutyzmu. Dyskusje przybierały często drastyczne formy, obaj bracia lubowali się bowiem w lapidarnych wyrażeniach. Pan Baltazar wyjeżdżał bez pożegnania i przerywał zwykle odwiedziny, narażając żołądek na niespodzianki kuchni folwarcznej. Po paru dniach, gdy obu braciom dokuczyła rozłaka, pani Melchjorowa zjawiała się na folwarku. Pan Baltazar tak się lękał nieodpartej wymowy bratowej, że, gdy wolant z Miksztun wjeżdżał na podwórzec, chyłkiem «wynaszał się» do lasu. Nic to nie pomagało. Pani Helena czekała cierpliwie na jego powrót, tłumaczyła, perswadowała, aż uparty szlachcic tracił dech, poddawał się i do Miksztun jechał, gdzie pan Melchjor witał go, jakgdyby nic między nimi nie zaszło. Tego dnia tylko zakąski przedobiednie bywały obfitsze i bardziej wyszukane, a na stole zjawiała się omszała butelka z miksztunowską starką, której sława sięgała hen, aż poza Orszę.

Ale i pani Melchjorowa miewała nieporozumienia ze szwagrem. Pan Baltazar bowiem, aczkolwiek bronił się przed małżeństwem, na wdzięki niewieście był wrażliwy. Każda przystojniejsza pokojówka, zwłaszcza jeśli los wyposażył ją w zasobniejszą pełnię kształtów, stawała się przedmiotem jego zabiegów. Gdy na tem tle powstawały rozdzwinki, pośrednikiem stawał się pan Melchjor, pobłażliwszy na tego rodzaju wykroczenia.

Pan Baltazar cenił talenty rolnicze i administracyjne brata, w sprawach myśliwskich zato sobie przyznawał wyższość. Czy to była zimowa obława na

wilki, czy jesienne polowanie z ogarami, toki wiosenne głuszców i cietrzewi, lub letnie na rojstach z wyżłem za pardwami wędrowki, bezustannie między braćmi wybuchwały spory. Przy każdym niepowodzeniu pan Melchjor zrzucał odpowiedzialność na pana Baltazara, pan Baltazar winił pana Melchjora. Długie wywody kończyły się słowami cierpkimi i dosadnymi. Gdy na łowach jednemu z braci sprzyjało większe szczęście, drugi tracił humor i stawał się zgryźliwym. A nicch który spudłował! Ileż to wywoływało przymówek, komentarzy, ubolewań! Tak oto płynęło życie w Miksztunach, jednostajne, a jednak urozmaicone.

Rozpętała się wojna, przyszła rewolucja. Panowie Miksztunowicze nie ruszali się z majątku, ufni w życzliwość służby i chłopów. Aliści pewnego wieczora zbuntowana tłuszcza otoczyła z wrzaskiem stary dwór. Zaświeciła luna pożaru, przed taras wytoczono pozostałe beczki sławnej starki, chłopstwo piło i strzelało, odgrażając się obszarnikom. Trzeba było ucieczką ratować życie. Z wielkim trudem udało się panu Melchjorowi dotrzeć wraz z rodziną do granicy. Pan Baltazar towarzyszył im. Prócz garstki klejnotów, niezbyt wartościowych, bo Miksztunowicze nigdy nie kochali się w świecidełkach, nie zdołali wywieźć nic.

Zaczęła się gehenna tułaczki. Kresowi ziemianie długo deptali bruk warszawski, zanim powiodło się im znaleźć pracę. Wreszcie pan Melchjor otrzymał posadę administratora w magnackiej posiadłości na kresach. Pan Baltazar musiał przyjąć skromny urząd w Warszawie. Rzucił go, gdy wybuchła wojna z bolszewikami. Mimo piątego krzyżyka, wszedł na konia i w czapce ułańskiej gonił kozaków Budiennego, łudząc się, że może do Miksztun dotrzeć. Musiał wrócić do biurka w dusznej i ciasnej izbie. Pełnił uciążliwe obowiązki sumiennie. Gdy kończył się dzień pracy, a pogoda była życzliwa, pan Baltazar spożywał prędko lichy obiad i szedł na długie przechadzki za miasto. Z radosnem zainteresowaniem przyglądał się zieleniejącym oziminom i wątłym listeczkom krzewów, które wiosna poczyniała budzić do nowego życia. Serce ścisnęła tęsknota za prawdziwą wsią, za knieją miksztuńską, która o tej porze rozbrzmiewała bujną i rozkoszną muzyką. W uszach dźwięczał mu przedwieczorny lament żórawi, chrapanie przeciągających słońek, namiętny, metaliczny brzęk kszyków, jazgot niezliczonego, drobnego ptactwa. Z pierwszych oszczędności nabył okazyjnie jakąś dubeltówkę i co tydzień parę godzin poświęcał na czyszczenie broni. Marzył o zdobyciu «pieska», który byłby mu wiernym towarzyszem. Ale tego marzenia ziścić nie mógł wobec stanowczego protestu damy, od której odnajmował pokój.

Pan Melchjor zapraszał go do siebie, do Starojelni. O urlop było trudno. Na posadę czyhały rzesze kandydatów. Aż teraz dopiero udało się panu Baltazarowi zyskać paratygodniowe od pracy zwolnienie. Napisał zawczasu do brata, kupił cukierków dla bratowej, karmelków dla dzieci i wybrał się w drogę.

.....

Kiedy bryczka zajechała przed dom, stanowiący siedzibę p. Melchjora i jego rodziny, na wschodzie gwiazdy już bledły. Dom był skromny, przerobiony z dawnej, dworskiej piekarni. W Starojelni pałac spalony został doszczętnie przez bolsze-

wików wraz z piękną biblioteką i cennymi zbiorami. Właściciele nie kwapili się z odbudową, zwłaszcza, że nie mieszkali tu nigdy.

— Pewno jesteś głodny — zwrócił się pan Melchjor do brata.

Pan Baltazar zaprzeczył. Gdy jednak zaspany służący objaśnił, że jest świeże kwaśne mleko, nie oparł się pokusie i skwapliwie opróżnił sporą miskę. Późem bracia udali się na zasłużony spoczynek.

Nazajutrz była niedziela. W dni świąteczne p. Miksztunowicze nie brali fuzji do rąk. Pan Baltazar przy śniadaniu dopiero przywitał się z panią Heleną i bratanikami. Potem p. Melchjor oprowadził go po gospodarstwie, nie darując żadnego zakątka, tłumacząc szczegółowo, w jakim stanie zastał budynki i inwentarz, i czego w ciągu krótkiego czasu dokonał. Ledwo wrócili do domu, pani Helena chciała pochwalić się kurnikiem i ogrodem. Pana Baltazara wszystko interesowało, niekiedy tylko spoglądał na niebo, badając, czy aby pogoda się nie psuje. Lecz niebo było jasne, sierpniowy dzień ciepły, jaskółki latały wysoko. Pan Baltazar wchłaniał wonne powietrze i ciszę, którą zakłócały jedynie: świegot rozradowanego ptactwa i brzęczenie owadów. Jakże szczęśliwym czuł się, nie słysząc wielkomiejskiego zgiełku — ryku samochodów, zgrzytu i dzwonienia tramwajów, krzyku przekupniów!... W ogrodzie warzywnym odszukał rodzinę służący w uroczystym, odświętnym surducie i w białych, nicianych rękawiczkach, oznajmiając, że obiad podany. Ruszyli szparko w stronę domu. Na ustach pana Melchjora pojawił się tajemniczy uśmiech.

— Dam ci coś, czego się nie spodziewasz!...

Pan Baltazar spojrzał na bratową. Lecz pani Helena nie chciała zdradzić sekretu, a dzieci wybuchły przyciszonym śmiechem.

Wkrótce tajemnica się wyświetliła. Pan Melchjor trzymał w ręku omszałą flaszkę, na której widniała zabrudzona i obdarta etykieta.

— Poznajesz?

Pan Baltazar wziął flaszkę do ręki. Popatrzył, zdumiał się, zwrócił wzrok w stronę brata.

— Co to? Nasza starka?

Na etykiecie widniał napis: Starka miksztunowska. I ich herb! Pan Baltazar pieściwym ruchem głaskał butelkę, nie wierząc oczom. Pan Melchjor mówił:

— Znalazłem przypadkiem w Lidzie, u starozakonnego kupca. Ma jeszcze parę butelek...

Siwe oczy braci spotkały się. Szklilo się w nich wzruszenie. Wspomnienia dawnych czasów!... Jakgdyby nie chcąc się im poddać, pan Melchjor odebrał bratu flaszkę, wyjął korek, powąchał, kiwnął głową. Dał powąchać bratu. Potem ostrożnie nalał dwa pełne kieliszki.

— Twoje zdrowie, Baltazarze!

— Wasze zdrowie!

Podnieśli poważnie, niemal uroczyście kieliszki do ust, wychylili je starannie. Pani Helena podsunęła talerzyk z marynowanymi rydzami, drugi z wędliną. Na stole dymiła waza z kołdunami w buljonie...

.....

Po poobiedniej drzemce bracia spotkali się przed domem. Służący wyniósł im trzcinowe fotele. Zasiadli wygodnie, zapalili papierosy. Pan Baltazar wszczął rozmowę na tematy myśliwskie. Pan Melchjor opowiedział, że naogół zwierzyny niedużo. Bywają dziki, ale przechodnie. W zimie były wilki, nie udało się ich jednak osaczyć. Brakło sznurów. Zajęcy w lesie mało. Cietrzewie są; jeszcze do młodych nie strzelał, czekając brata. Na jeziorze są kaczki. Na ornym polach widziano parę stad kuropatw...

Pan Baltazar słuchał uważnie.

— Koziółka niema?

— Owszem, trafia się. Dawniej było dużo. Podczas wojny wybili.

— A głuszcze?

— Na wiosnę grało kilkanaście kogutów.

— Zabiłeś?

Pan Melchjor zawahał się, skrzywił, wyjął papierosa z ust.

— Nie... Czasu braknie...

Pan Baltazar skrzywił się lekceważąco.

— W Miksztunach w jeden ranek mogłeś zabić cztery!...

— Ba! W Miksztunach!

Wspomnienia coraz mocniej osaczały mózg pana Baltazara. Urok Starojelni gasł... W zestawieniu z Miksztunami wszystko nabierało cech mizernej, lichej małości. Aż pan Melchjor, który już przywiązał się nieco do nowej siedziby i gospodarstwa, poczuł się dotkniętym. Wyrwało mu się porównanie, niekorzystne dla Miksztun. Pan Baltazar zaprzeczył, całkiem obrażony. Mało brakło, bracia byłiby się nadobre pokłócili. Na szczęście, zjawila się pani Helena, zapraszając na podwieczorek.

Wieczorem znów ledwie nie doszło do sprzeczki. Tym razem z powodu Medora, wyżła rasy niemieckiej, którego pan Melchjor odziedziczył po poprzednim administratorze. Pan Baltazar uznał, że pies jest ociężały i flegmatyczny. Pan Melchjor odpowiedział zgryźliwie, że ferowanie wyroków bez badania sprawy jest lekkomyślnością. Ale, gdy się wygadał, że pies, aczkolwiek ma górny wiatr, nie aportuje, pan Baltazar zaczął się ironicznie uśmiechać. Te przyśmieszki o włos nie wytrąciły pana Melchjora z równowagi. Pani Helena musiała pośredniczyć.

.....

Wczesnym rankiem mieli pp. Miksztunowicze wyjechać na młode cietrzewie. Pan Baltazar spał gorączkowo, budząc się wciąż z obawy, by się nie spóźnić. Wstał przed świtem. Niebo na wschodzie ledwie poczynalo się rumienić, gdy już chodził niecierpliwie po jadalni, wyglądając brata. Lecz pan Melchjor nie dał długo na siebie czekać. Wypili śpiesznie kawę, wzięli do kieszeni po kromce chleba z wędliną i wsiedli do bryczki. Powietrze było czyste i rześkie. Pan Baltazar wewnętrzną radość objawiał dziwnymi pomrukami, które wyrwały mu się z krtani. Oto znalazł się wreszcie daleko od brzydkiego i tłoczego miasta! Szeroki, przestronny gościniec biegi wśród zióławych ściernisk, które z jednej strony

chyliły się ku ciemnej zieleni łąk, otaczających kręte łóżysko rzeki, z drugiej — zamykały się szafirową linią boru. Wziął do rąk dubeltówkę, zmierzył do przelatującej wysoko wrony, sprawdził, czy worek z ładunkami nie wyleciał. Niosło go tak, że raz wraz zapytywał brata:

— Daleko jeszcze?

— Skoro minimy gajówkę nad jeziorem, wjedziemy w las. Zaraz na skraju w krzakach będzie strzelanie.

Pan Melchjor, pamiętny wczorajszych, uszczypliwych uwag brata, trzymał Medora między kolanami. Ale pies o urazie nie wiedział i zwracał czule spojrzenie w stronę pana Baltazara. Ten udawał z początku, że nie widzi. Wciąż jeszcze obrażony był na Medora, iż nie aportuje. Gdy jednak pies położył z ufnością wydłużony pysk na jego udzie, pogładził go lekko. Pan Melchjor rzekł:

— Głupi pies!

Ale życzliwie patrzył na zawarty pakt zgody.

Bryczka mijała osiedle gajowego. Z za płotu przyglądał się dziesięcioletni chłopczyną. Pan Baltazar trącił stangreta.

— Stój!

Pan Melchjor, zdziwiony, zapytał:

— Co się stało?

— Weźmy chłopaka. Skoro Medor nie aportuje, pomoże nam szukać.

Pan Melchjor zgodził się. Zaproszony malec uczeplił się tyłu bryczki. Byli już na krawędzi młodego lasu, w który wrzynało się jezioro, gęsto zarosłe sitowiem i tatarakiem. Myśliwi wysiedli. Pan Baltazar wykładał malcowi jego najbliższe obowiązki:

— Tylko patrz, gdzie cietrzew spadnie. I zaraz leć po niego...

Pan Melchjor ruszył naprzód. Medor pobiegł rażno, zginął w wysokich trawach i krzakach. Lecząc pan Baltazar, który szedł bliżej jeziora, nagle coś dostrzegł. Skinął na chłopca, by się zatrzymał, sam zaś począł się skradać przemyślnie i cicho ku wodzie. W sitowiaczce coś się poruszyło. Chłopak szepnął nieśmiało:

— Panie...

Zamilkł, spotkawszy się z groźnym spojrzeniem myśliwego. Jeszcze parę kroków, huknęły dwa strzały.

Pan Melchjor, już dobrze oddalony, zapytał:

— Do czegoś strzelał?

— Kaczki!

— Zabiłeś?

— Spodziewam się!

W tej chwili pan Melchjor jął wołać.

— Medor! Waruj! Waruj!

Pan Baltazar stanął, jak wryty. Zaczynało się polowanie. Pan Melchjor strzelił. Panu Baltazarowi zrobiło się gorąco. Skinął na chłopca:

— Tam — w wodzie dwie kaczki zabite. Zbierz je, odnieś do chałupy, żeby nie dźwigać po lesie — i wracaj...

1929



Chłopak wybałuszył niebieskie ślepie. Chciał coś tłumaczyć, lecz pan Baltazar już szybkim krokiem mierzyl w kierunku gąszczów, gdzie strzelił pan Melchjor.

Polowanie udało się nadspodziewanie. Gdy słońce wzniosło się wysoko, prażąc rozkosznie, pp. Miksztunowicze mieli na trokach tuzin młodych «murzynów» i dwa stare koguty. Pan Baltazar spuścił prócz tego pięć kszyków, z czego był szczególnie rad, bo ptaszka tego cenił. Ale chłopak z gajówki nie wrócił. Czy nie mógł odnaleźć myśliwych, czy odeszła go chęć, dość, że skrewił. Nasunęło to panu Baltazarowi wątku do kilku cierpkich uwag o demoralizacji ludu. Nie zepsuło humoru. Na małej polance zjedli skromne śniadanie. Pan Melchjor miał w manierce starkę. Pan Baltazar wychylił kieliszek i taką poczuł ochotę, że wykonał kilka ruchów, przypominających taniec niedźwiedzia na łańcuchu, mrucząc przytem dość fałszywie nieuchwytną piosenkę.

Pan Melchjor śmiał się pobłaźliwie.

— Ej, stary! stary!

Bryczka czekała w głębi lasu. Wracali do domu inną, znacznie krótszą drogą. Pan Baltazar chciał wstąpić po swoje kaczki, lecz pan Melchjor odwiódł go, obiecując, że z domu po nie pośle. Teraz obiad czeka.

Kiedy wchodzili na ganek, pani Helena, która wyszła na spotkanie, rzekła do pana Baltazara:

— Żona gajowego ma do pana brata jakiś tajemniczy interes.

I wskazując na babinę, która stała skromnie opodał, dodała z uśmiechem:

— Chyba-ż pan brat na jej cnotę nie nastawał?

Pan Baltazar objął spojrzeniem nieznana mu kobietę i zapytał:

— Cóżto za interes?

Pomarszczona twarz baby tchnęła powagą.

— Ja z panem dziedzicem... na osobności.

— Nie mam żadnych sekretów! — zachnął się pan Baltazar.

Pan Melchjor poklepał go żartobliwie po ramieniu.

— Kiedyś ty zdążył już jej krzywdę zrobić?... Mógłbyś wybrać świeższą i ładniejszą.

Pan Baltazar oburzył się, zanim jednak zdołał się odciąć, pan Melchjor i pani Helena weszli do sieni.

— Czego chcecie ode mnie?

— Panie dziedzicu... ja jestem z gajówki nad jeziorem.

— Nie jestem żadnym dziedzicem!...

— To nie wadzi... Te kaczki, to były moje kaczki...

Pan Baltazar drgnął.

— Jakie kaczki?

— Te, do których pan dziedzic... z przeproszeniem... strzelał... Trzy zostały... Takie śliczne kaczusie... Jajka niosły regularnie... Ja wiem, że to dla myśliwego wstyd... i zaraz śmiech... więc nikomu ani słowa, tylko czekałam na pana dziedzica... z przeproszeniem... bo wiem, że pan mi wynagrodzi...

Zatem kaczki, do których strzelał na jeziorze, były swojskie! On, stary myśliwy,

pomylił się! Jakże będzie drwił z niego Melchjor! Nawet pani Helena nie powstrzyma się od śmiechu, nawet dzieci... On, Baltazar Miksztunowicz!...

.....

Baba przeliczyła skrupulatnie pieniądze, które jej wręczył, i acz nieproszona, przyrzekła trzymać język za zębami. Pan Baltazar pozostawił jej niefortunny łup. Ułożyli, że chłopak kaczek nie znalazł, że widocznie były tylko zbarczone. W ten sposób też wyjaśnił przy stole pan Baltazar tajemniczą rozmowę: baba przyszła go przeprosić, że chłopak za nimi nie poszedł: gonił długo postrzelone kaczki, które mu wkońcu w sitowiach przepadły.

.....

Czyż można jednak ufać, aby tajemnica, do której dopuszczonych było troje ludzi, zdołała się utrzymać? Panu Melchjorowi już przy obiedzie historia wydała się podejrzana. Posądzał chłopca, że ukradł kaczki. Daremnie bronił malca pan Baltazar. Pan Melchjor upierał się przy swoim i zapowiedział, że przeprowadzi śledztwo. Wieczorem w kuchni fernalskiej już wszystkim było wiadomo, że ofiarą myśliwskich zapalów pana Baltazara padły trzy swojskie kaczki. Pokojówka przyniosła tę wiadomość pani Helenie. Stary służący bardzo dyskretnie zakomunikował ją panu Melchjorowi. Przy wieczornem, kwaśnem mleku pan Baltazar rozpoznał w uśmiechu, błakającym się na ustach brata, że jego kompromitacja myśliwska została ujawniona. Najdotkliwiej drażniło go to, że pan Melchjor nic o kaczkach nie wspominał, a pani Helena zgoła unikała tematów łowieckich. Po kolacji wszyscy wyszli na ganek. Na trawniku przechadzało się stado zapóźnionych indyków. Pan Melchjor nie wytrzymał, trącił w ramię brata.

— Baci! Błagam cię... to są swojskie indyki... Nie strzelaj!

Pani Helena pogroziła mężowi. Ale dzieci roześmiały się głośno. Pan Baltazar lekko pobladł, wstał i, nic nie mówiąc, poszedł do swego pokoju.

Pani Helena zgromiła dzieci, mężowi wymówiła nietakt. Gdy pan Baltazar przez dłuższy czas nie wracał, sam pan Melchjor poprosił ją, by poszła zobaczyć, co się z bratem dzieje. Pani Helena zapukała do drzwi; nie doczekawszy się odpowiedzi, uchyliła je. Pan Baltazar gorączkowo pakował rzeczy.

— Co pan brat robi?

— Muszę jeszcze dziś jechać. Przypomniałem sobie... nagła sprawa...

Pani Helena weszła do pokoju.

— Także coś nowego! O głupie kaczki! Więc, że były swojskie, to co? Mogły być także dzikie.

Pan Baltazar bardzo podniecony mówił cokolwiek bezładnie:

— Ja wiem... Ale ja nie znoszę, żeby ze mnie drwiono... Wolę odrazu... do Warszawy.

— Koni nie damy!

— To piechotą. Trudno... pani bratowa daruje... Żeby Melchjor ciągle się uśmiechał?... W Miksztunach było to samo... Nie powie nic, a ja wiem, że sobie pokpiwa...

Wziął torbę i fuzję w ręce.

— Już!

Pani Helena zagroziła mu drogę.

— Nie puścim!

— To ja przez okno.

I zbliżył się do framugi otwartego naościę okna. W oczach pani Heleny błysnęło nagle postanowienie:

— Ot, stare dzieciaki! Nie mają większych zmartwień! Toż pan brat myśli, że komu innemu coś podobnego się nie zdarzyło?

Pan Baltazar odparł obojętnie:

— Może. Ale to nie ma nic do rzeczy.

— Pan brat wie, co się na wiosnę przytrafiło Melchjorowi?

Pan Baltazar, wciąż z fuzją i torbą w ręku, spytał:

— A co?

W tej chwili w drzwiach zjawił się pan Melchjor. Jednym spojrzeniem odgadł sytuację. Zrobiło mu się nad wyraz przykro. Znał twardy upór brata, jego drażliwość myśliwską. Przez chwilę milczał, ważąc zamiar żony. Aż wreszcie rzekł:

— Chodźmy na ganek... Już lepiej sam opowiem.

Pani Helena, rozumiejąc, że w cudzych błędach najchętniej widzi się usprawiedliwienie własnych, bez litości dla męża dodała:

— I to nie były kaczk... To było z głuszcem!

Pan Baltazar położył manatki na łóżku i poszedł, milcząc, za panem Melchjorem na ganek. Usiedli. Pani Helena odprawiła dzieci spać, sama jednak została, bojąc się dywersji, któraby zgodę między braćmi ponownie na szwank naraziła. Panowie, nie śpiesząc się, zapalili papierosy.

Pan Melchjor zaczął opowiadanie.

— No... to też djabelska awantura... Zaraz po Świątach Wielkanocnych zasadziłem z wieczora koguta. Daleko, na mokradłach, za starym lasem. Zostałem w kniei, gajowy przyniósł kartofli i piekliśmy je przy ogniu. Po plecach chodził mróz. Zaraz po północy ruszyliśmy. Droga przez trzęsawiska była ciężka, zwłaszcza, że na bajorach została cienka pokrywa lodowa. Pękała z trzaskiem pod stopami, do butów wlewała się woda. Na oślizgłych kępach mchu trudno było się utrzymać. Spocilem się zdrowo, zanim dotarłem wpobliże zasiadu. Czekałem jeszcze dobre pół godziny. Wreszcie kogut zaczął grać. Zostawiłem gajowego i zacząłem podchodzić. Szlifował mało i krótko, a lód wciąż pękał pod butami z hałasem. Skakałem ledwo po dwa kroki. No... wreszcie sosna, na której siedział. W gąszczach igliwia nic nie widać. Przestał śpiewać. Czekam, a już i tchu braknie ze wzruszenia. Niebo cokolwiek przybladło. Wtem poniżej czuba sosny coś się poruszyło... Widzę ciemny, wyraźny punkt... I rozlega się szlifowanie... Strzeliłem. Ptak ciężko spada na ziemię, aż woda chlusnęła. Patrzę, leży... Pod drzewami jeszcze mrok... Idę, podnoszę. — Co u diabła? Czy oczy mylą? Sowa! A w tej chwili w górze wielki łopot skrzydeł... Głuszc porwał się...

Pan Baltazar wybuchnął głośnym, niezbyt taktownym śmiechem.

— Zabiłeś sowę?

Pan Melchjor spojrział na brata z wyrzutem.

— Głuszcak siedział niżej. A wyżej — sowa. I ja... do sowy!...

Pan Baltazar pohamował się, lecz w siwych oczach błyskały wesole ogniki.

Pan Melchjor ciągnął dalej:

— I ten jucha gajowy — podbiega, nic nie rozumując, i pyta... — Panoczku, był i drugi, widziałem, jak poleciał! Nagle spojrział na ptaka i zdumiał się.

— Taż to sowa...

Patrzy na mnie cymbał i zaczyna się uśmiechać. Byłbym strzelił do niego! Rzuciłem sowę, splunąłem i poszedłem do domu...

Pan Baltazar milczał przez chwilę. Wreszcie wyrwało mu się z ust:

— Psiakrew!

Ale więcej było w tem przekleństwie rozbawienia, niż współczucia. Pani Helena milczała dyskretnie. Bracia patrzyli sobie w oczy. Nagle obaj zaczęli się śmiać. Narazie cicho, potem coraz głośniej, aż wkońcu brzuchy im się trzęsły z wewnętrznej, nieposkromionej uciechy.

— Ja, kaczkę — wykrztusił pan Baltazar...

— A ja głuszcza... — dokończył pan Melchjor...

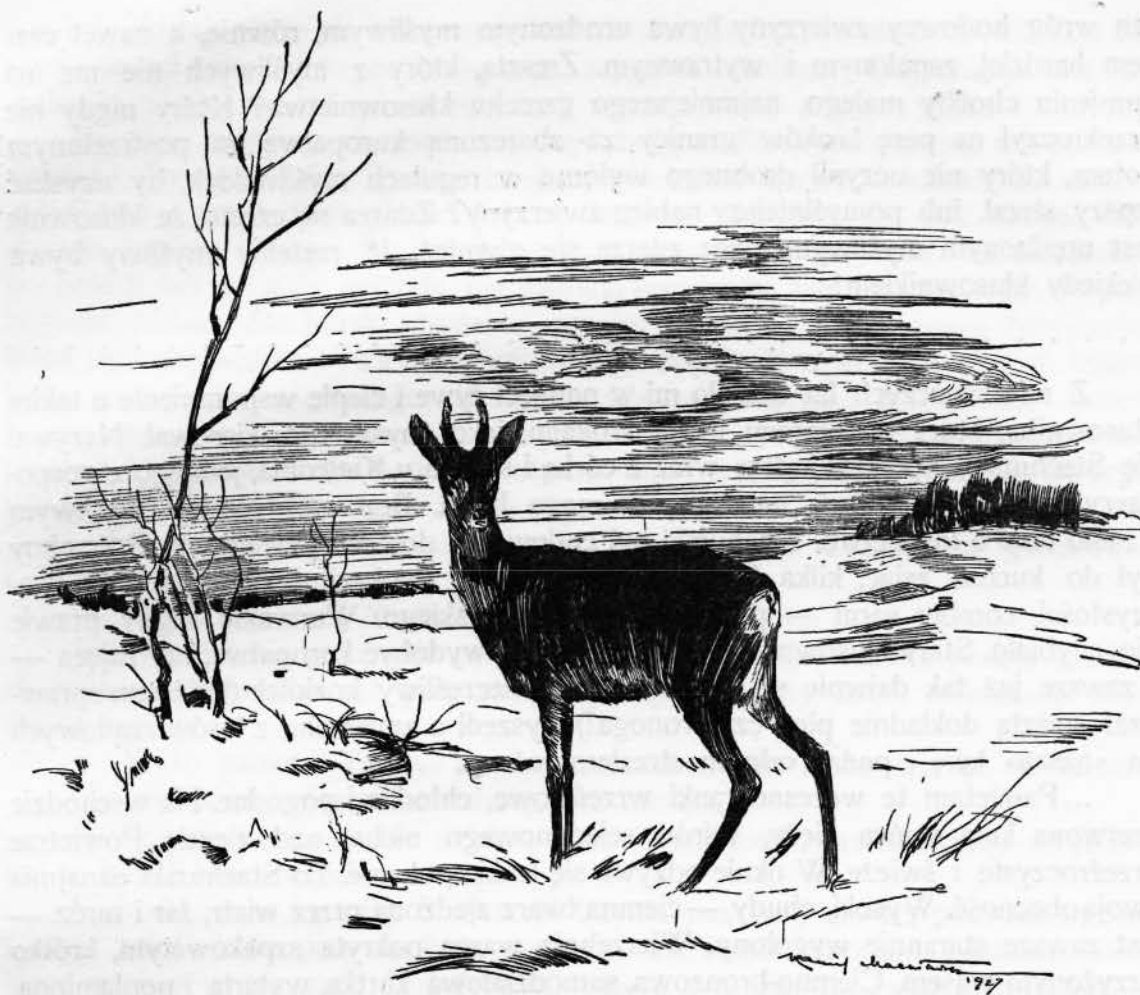
Teraz już śmiała się i pani Helena. Stary służący stanął w drzwiach i grzecznie, przypochlebnie, jak przystało człowiekowi skromnej kondycji, rechotał także.

— Mikołaju, daj starki! — zawołał pan Melchjor...

Pan Baltazar już nie myślał o wyjeździe.



PAN STACHURSKI



JEDNYM z największych wrogów myśliwego i gospodarki łowieckiej jest niewątpliwie kłusownik. Niszczy on zwierzynę gorzej, niż każdy inny drapieżnik, bo bywa przebieglejszy, zręczniejszy i lepiej do walki uzbrojony. Jest przecież kłusownik i kłusownik. Ten, który traktuje swe rzemiosło tylko jako źródło zysków, któremu chodzi wyłącznie o zdobycie mięsa na sprzedaż — i ten, w którym tkwi nieprzeparta namietność myśliwska, który poluje wbrew zakazom i mimo niebezpieczeństw, nietylko, by sprzedać ubitą zwierzynę, ale którego pcha w pole, czy do lasu, niezaspokojona, niepohamowana ochota łowiecka. Być może, iż ten drugi jest jeszcze szkodliwszy. Z punktu widzenia prawnego, sięga on tak samo, jak pierwszy, po cudzą własność. A jednak... jednak w myśliwym nie budzi on tego wstrętu, jaki odczuwa się wobec zwykłego złodzieja. Pomimo wszystko bowiem,

ten wróg hodowcy zwierzyny bywa urodzonym myśliwym, równie, a nawet czasem bardziej, zapalonym i wytrawnym. Zresztą, który z myśliwych nie ma na sumieniu choćby małego, najmniejszego grzechu kłusownictwa? Który nigdy nie przekroczył na parę kroków granicy za zbarczoną kuropatwą, za postrzelonym kotem, który nie uczynił drobnego wylomu w regułach myśliwskich, by uzyskać lepszy strzał, lub pomyślniejszy nabieg zwierzyny? Zdarza się często, że kłusownik jest urodzonym myśliwym. Lecz zdarza się również, iż rzetelny myśliwy bywa niekiedy kłusownikiem!

.....

Z młodzieńczych lat zostało mi w pamięci żywe i ciepłe wspomnienie o takim kłusowniku, który pierwszemi memi krokami, jako myśliwego, kierował. Nazywał się Stachurski, mieszkał kątem wraz z córką i siostrą u Kielkonia, jednego z gospodarzy-chłopów w wiosce, należącej do mego brata. Brat mój nie był myśliwym i mało dbał o łowiectwo. Stachurski był cudownym dostawcą zwierzyny. Potrzebny był do kuchni zajęć, kilka kuropatw, czy nawet, z okazji jakiejś większej uroczystości, comber sarni — posyłano do Stachurskiego. Wezwanie nigdy prawie nie chybiało. Stary kłusownik z pod ziemi umiał wydobyć kuropatwę, czy zającą — i zawsze już tak dziwnie się składało, że nieszczęśliwy koziołek (któż tam sprawdzał zresztą dokładnie pleć czworonoga!) wyszedł o zmierzchu z lasów rządowych na «naszą» łąkę i padał, celnym strzałem rażony.

...Pamiętam te wczesne ranki wrześnie, chłodne i pogodne. Na wschodzie czerwona kula słońca cięży, wśród seledynowego nieba, nad ziemią. Powietrze przeźroczyste i świeże. W oknie odzywa się lekkie pukanie. To Stachurski oznajmia swoją obecność. Wysoki, chudy — ciemna twarz zjedzona przez wiatr, żar i mróz — jest zawsze starannie wygolony. Wierzchnia wargą pokryta szpakowatym, krótko strzyżonym wąsem. Ciemno-bronzowa, samodziałowa kurtka, wytarta i poplamiona, długie buty, na plecach torba borsucza, mocno z szczeciny wyłysiała.

Uchyła wypłowiałą czapkę.

— Czas, paniczu! Po rosie kury będą dosiadywać.

— Herbaty pan się nie napije?

Stachurski przystaje poważnem skinieniem głowy. Cały dom śpi jeszcze. Na werandzie, zamroczona od snu, Weronka ustawia samowar. Gospodyni, o tej godzinie stale w złym humorze, szykuje kromki chleba z mięsem i serem, które będą stanowić nasze drugie śniadanie w polu.

...I wkrótce potem wychodzimy na pozłociste rżyska, poprzecinane tu i ówdzie rozległemi polami kartofli. Czuję w sobie taką ochotę, żebym skakał i śpiewał. Zazdroszczę skowronkom! Lecz milcząca powaga Stachurskiego wstrzymuje moją młodzieńczą radość życia. Przytem nurtuje mię już obawa, żeby nie pudłować. Stachurski do kuropatw strzela tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdy ma konkretne zamówienie ze dworu. Inaczej — szkoda mu naboju. Co innego zimą, z saneczek, gdy to można wygarnąć do ściśniętego w śniegu stada i od jednego strzału pół tuzina i więcej kur zamordować! Proch i śrut dużo kosztują,

przytem dostaje się je nie bez pewnych trudności. Zwierzyna dla Stachurskiego zaczyna się od zajęcia. I to jeszcze — zajęć zajmowcy nierówny. Gdy zruluje kota, nie omieszka nigdy zważyć go w rękach i wyrazić opinii o jego wieku i wartości.

Rzetelny myśliwy nie może się obyć bez psa. Stachurski zawsze ma jakiegoś «pieska». Bywają to kundle najróżniejszej wielkości, barwy i kształtów, zawsze jednakowo i przeraźliwie chude, i na zwierzynę «pażerne». Co rok niemal Stachurski z psem (czasem i z fuzyjką) miewa nieszczęśliwe wypadki. Psa, żerującego po polach lub w lesie, ustrzela mu gajowy, fuzyjczynę zabierają strażnicy. W parę tygodni później Stachurski chodzi z nowym «pieskiem» i z nową fuzyjczyną. Broń jego przeważnie bywa domowej roboty. Pojedynki o dziwnie długich lufach, kolba grubą ręką z prostego drzewa wykrajana, wszystko zmcowane drutem i sznurkiem. Jak on z tych kolubryn potrafi strzelać, to już jego tajemnica. Strzela nieomal bez pudła. Prawda, że nie strzela nigdy lekkomyślnie, że składa się tylko wtedy, gdy strzał wydaje mu się pewny.

...Już kundel zwiertzył coś i rusza pędem, wraz rozlega się gwizdawka i donośny głos Stachurskiego:

— Medor! Wolno! Medor!

Jeśli kundel nie pohamuje natychmiast myśliwskiego zapалу, padają gradem słowa mocne i przykre, aż pies stropiony i przelęknięty staje, odwracając zdziwioną mordę.

— Widzi panicz? Tam... jak ten krzaczek... całe stado szoruje do kartofli. Nic nie widzę. Ale mam ochotę biec klusem.

— Powoli, paniczu! Nie uciekną nam. Tylko niech panicz mierzy do jednej, nie w kupę! Nie gorączkować się!

Wchodzimy w kartofle. Stachurski trzyma psa przy nodze, pozwala mu się oddalić zaledwie na parę kroków, wygraża co chwila krótkim bacikiem. Mnie serce zamiera w piersiach. Dubeltówka — lekka dwudziestka, którą otrzymałem na imieniny, drży w rękach. Frr... frr...! Kilkanaście kuropatw z piekielnym furkotem zrywa się tuż przed nami. Dwa strzały, prawie jednocześnie, z pod pachy, w stado...

Jestem napół przytomny.

— Nic nie spadło? Zdawało mi się, że jedna... jakby leciała ku ziemi. Stachurski jest niezadowolony.

— Nie... Poszły... Panicz za blisko strzelił. Trzeba wypuścić...

Jestem zawstydzony i wściekły. Przysięgam sobie w duszy, że teraz, gdy się porwie kura, będę strzelał, jakgdybym miał zamrożoną wodę w żyłach. Lecz, gdy znów furknie szary ptak, fuzja sama wypala... Ach, te pierwsze trudności i zawody! Ach, te pierwsze radości, gdy kuropatwa zatrzymuje się w locie, skręca i jak kamień spada na ziemię! Duma, która rozpiera piersi!

— Dobrze dostała! Ani zipnęła!

Stachurski i tym razem nie szczędzi krytyki.

— Panicz zawsze za blisko strzela. Ot, kura rozbita. Aż flaki wyszły...

Długo i cierpliwie terminować trzeba w kunszcie łowieckim...

.....

Przed południem, gdy słońce zaczyna przygrzewać, robimy wypoczynek. Zwykle na łąkach, w pobliżu źródła. Stachurski wyjmuję z torby zapasy, które mu powierzyła gospodyni. Kłusownik z początku je odniechcenia, jakgdyby chciał mi zrobić grzeczność. Skoro przecież widzi, że już jestem syty, a zapasy nie są spożyte, poczyną zajadać nadobre. Raz wraz jakiś kąsek poda Medorowi, który zasiadł przy nim i uważnie śledzi każdy ruch ręki do ust.

Po śniadaniu Stachurski nabiera pogodniejszego poglądu na świat i jego sprawy. Czyni się wyrozumiały dla mych poczynąń myśliwskich.

— Panicz ma dobre oko... Panicz na pewno będzie dobrze strzelał... Ja też nie odrazu... A pan dziedzic to nigdy nie będzie potrafił. Szkoda tylko, że taka dobra dubeltówka marnuje się na kolku...

Stachurski zapala krzesiwem fajeczkę, puszcza parę gęstych kłębow dymu i zwraca się.

— Miałem ja, parę lat temu, taką dubeltówkę, co na osiemdziesiąt kroków biła jak zegar. Raz zająca strzeliłem z pomyka. Ani drgnął. Zmierzyłem. Było sto dwanaście kroków.

— Cóż pan z nią zrobił?

— Zabrały mi... cholery...

Oczy starego pociemniały nienawistnym ogniem, usta ścisnęły się w porywie gniewu. «Cholery», to byli strażnicy i gajowi. Pierwsi zwłaszcza polowali na Stachurskiego tak, jak on polował na zwierzynę. Nie było miesiąca, żeby nie wpadli znienacka do chałupy na rewizję, szukając broni. Kielkoń, znudzony i trochę wystraszony temi odwiedzinami, wygrażał się od czasu do czasu, że musi pozbyć się niebezpiecznego lokatora. Nie czynił tego jednak, bo wraz z innymi gospodarzami odczuwał utajoną dla Stachurskiego sympatię. Właśnie za tę jego wojnę z «Moskalami», których również, z innych powodów, nienawidził. Zaś strażnicy, słusznie czy niesłusznie, podejrzewali Stachurskiego o udział w każdym wypadku, którego ofiarą w okolicy padał rosyjski przedstawiciel władzy. Kłusownik zresztą pomawiany był o udział w powstaniu, miał w powiecie opinię zdecydowanie «niebłagonadziejnego». Przy najmniejszej okazji odsiadywał kozę. Wraciał do chałupy z jeszcze zaciętszą w duszy nienawiścią do «choler» moskiewskich...

O powstaniu nie mówił nigdy. Ani o poważniejszych starciach z władzami. Lecz mniejszej wagi zdarzenia, w których udało mu się podejść i wyprowadzić w pole strażników, opowiadał chętnie. Twarz mu się wtedy wyjaśniała milczącym uśmiechem, oczy świeciły cichym weselem. Kończył stale:

— Psie krwie! Cholery!

.....

Raz, jadąc konno przez wieś, wstąpiłem do Stachurskiego, by zamówić go na następny ranek. Okazało się, że odnajmuje od Kielkonia małą izdebkę z alkierzem, z osobnem wejściem od tyłu. Koniem zaopiekował się jakiś wyrostek. Stary kłusownik siedział przy drzwiach na małej ławeczce, z fajeczką w zębach, i z wielkim zajęciem majstrował nad naprawą wąsiorka. W wolnych od polowania chwilach zajmował się także połowem ryb w rzeczce, kręcącej się wśród łąk.

Z izdebki dochodził piskliwy, zmęczony głos kobiety, nucącej jednostajną litanję.

— Chciałem ułożyć się z panem na jutro...

Stachurski chętnie przyjmuje zaprosiny.

— Doskonale! Pójdziemy z samego ranka w jęczmienisko przy końskim zębie. Tam jest duże stado, a kury jak indyki! Może panicz wejdzie spocząć?

Izdebka niska i mała, wybielona porządnie, podłoga drewniana, schludnie wymyta. Z pośród gratów, stanowiących zwykle wnętrze chłopskiej siedziby, wyróżniają się zabytki lepszej przeszłości — stara, orzechowa komoda, przykryta kolorową serwetą, na niej parę wyblakłych fotografii, lampa z kanarkiem z żółtej włóczki na szkłe, parę niewyszukanych filiżanek. Na framudze okienka pelargonje.

Zajęta gospodarską robotą, sucha, wysoka kobieta ociera śpiesznie ręce w fartuch i składa ceremonialny dyg. Podobna do brata. Te same wąskie usta, tchnące zaciętością i uporem, ten sam dumny, silnie zgarbiony nos! A chuda! Chyba jeszcze chudsza, niż Stachurski!

— Zosiu!

Trzynastoletnia dziewczynka powtarza dyg starej panny Stachurskiej. Jasne włosy przczesane bez smaku, uboga sukieneczyna perkalowa, twarzyczka szczupła i blada. Ale zielonawe oczy mają spojrzenie, w którym łączy się dziwnie nieśmiałość z ciekawością, smutek z drwiącą filuterją. Oczy nie dziecka, oczy kobiety.

Stachurski podsuwa stółek. Siostra siada na drugim. Kłusownik przysiadła wraz z córką na ławeczce koło okna.

Rozmawiamy o polowaniu, o pogodzie, o niedawno skończonych żniwach. Zgoła jak na pierwszej wizycie w mniejszym dworze wiejskim...

Na powrotnej drodze spotykam Kielkonia. Zamożny gospodarz na dziesięciu morgach odnosi się do Stachurskiego z politowaniem, niepozbawionym szacunku.

— Hardy szlachcic, choć nieraz bieda skwirczy, że ale! Jak nie upoluje nic, rybki nie złowi, to siostra uwarzy trochę wodzianki, posoli, i już... nawet bez omasty!

Stachurski zapraszany bywa przez gospodarzy do rady, pomaga im odcyfrowywać pisemne wezwania. Lecz baczy pilnie, by się «chamy» nadto z nim nie spoufaliły. Sromotnie wymyśla chłopakom, wracającym z wojska, gdy w karczmie, a zwłaszcza w obecności dziewcząt, zaczynają popisywać się wyrażeniami lub piosenkami rosyjskimi. Złorzeczy im od kacapów i grozi pomstą prawowiernego kościoła katolickiego.

.....

Wiele lat upłynęło od tych moich młodzieńczych poczynań myśliwskich. Może dziesięć, może dwanaście... Po dłuższej nieobecności wróciłem do kraju. W jesienne popołudnie, pachnące rozoraną ziemią i wędnącymi liśćmi, zjechałem na krótko do cichej wioski rodzinnej.

Przy kolacji pytam.

— Jest co kuropatw?

Brat odpowiada.

— Powinny być. Jeśli chcesz zapolować, zamówię Stachurskiego.

— Jak się ma stary?

— Posunął się trochę... Prawda, ty nie wiesz wcale...

Zaczyna się opowieść prosta, twarda i smutna, jak życie biednych ludzi, borykających się z losem. Córce Stachurskiego, gdy dorosła, nudzić się zaczęło w chałupie. Mimo oporu ciotki i milczącej niechęci ojca, dziewczyna przeniosła się do Jędrzejowa, by tam, jako szwaczka, zarabiać na życie. Gdy bratowa zwracała uwagę Stachurskiemu, że nie jest to bezpiecznie ładną i młodą panienkę tak samopas puszczać, tłumaczył się:

— Trudno dziecku zawiązywać przyszłość. W mieście świat inny, i mąż trafić się może, tu zaś przecie za chłama nie wyjdzie!

I zdarzyło się po jakimś czasie, że do Jędrzejowa zjechali wędrowni aktorzy. Siedzieli w miasteczku kilka tygodni, bo nie mieli za co wyjechać. A gdy wreszcie ulotnili się, córka Stachurskiego zniknęła wraz z nimi. Zakochała się podobno w młodym dyrektorze, który grywał bohaterów i na gitarze i odkrył w niej talent aktorski.

— A Stachurski?

— Stachurskiego nie było na wsi przez tydzień. Wrócił milczący, jak zwykle — postarzały, z plecami zgiętymi w kabłąk. Gdy próbowano się odeń czegoś dowiedzieć, spoglądał na ciekawych takim wzrokiem, że pytania więzły w gardle. Bo to, że ktoś nazewnątrz nie chce, czy nie potrafi ujawnić uczucia, nie znaczy wcale, żeby go głębiej w sercu nie chował. I bywa to nawet właściwością mocnego uczucia, że nie umie wyrazić się w słowach miękkich i serdecznych, praktykowanych tak suto i powierzchownie w stosunkach towarzyskich...

— Więc ostatecznie co się stało z dziewczyną?

— Została w teatrze. Podobno nawet występowała w Warszawie. Lecz nie pod własnym nazwiskiem.

— A pod jakim?

— Matka jej była z domu Rakowska, i ona to nazwisko przyjęła.

.....

Rakowska! Do kasta! Teraz rozumiem, skąd mi ta twarz była znajoma! Byłem na jej występie w jakimś trzeciorzędnym teatrzyku «popularnym». Kiedy wyszła na scenę, doznałem wrażenia, że gdzieś, kiedyś, tę młodą osobę widziałem. Ale gdzie i kiedy, nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć. Ładna dziewczyna, o jasnych włosach i zielonych oczach, strzelista, kształtna. Za kulisami mówiono, że pochodzi z obywatelskiej rodziny, że ojciec jej posiada majątek ziemski, lecz że wyrzekł się córki, gdy wstąpiła do teatru. Opowieści te budziły w kołach teatralnych pewne zaciekawienie i niepokój. Nowy talent! Nowe współzawodnictwo? Nic z tego. Ów pierwszy występ panny Rakowskiej w Warszawie był, o ile mnie pamięć nie zawodzi, ostatnim. Nie umiała ani mówić poprawnie, ani ruszać się swobodnie. Skończyło się tak, że w najbardziej dramatycznych miejscach publiczność śmiała się wesoło. Wówczas to nawet uderzyło mnie, jak najpocziwsi nawet ludzie, gromadząc się, stwarzają zbiorowisko okrutne i niemilosierne. Żal

mi było dziewczyny, bo widocznie zdawała sobie sprawę z tego, co się działo na widowni, i odczuwała rosnącą w stosunku do niej niechęć. Wyszedłem przed końcem przedstawienia, zaś nazajutrz przeczytałem w dziennikach kilka złośliwych i mało dowcipnych notatek o «nieudatnym występie panny Rakowskiej». Nie myślałem o niej więcej. Jeszcze jeden motyl, który opalił sobie skrzydła o płomień lampy!

To była córka Stachurskiego, owa mała dziewczynka, w której oczach łączyły się ciekawość i nieśmiałość, smutek i drażniąca filuterja!...

.....

Wstałem cokolwiek później, i już było po ósmej, gdy skończył się ubierać. Na werandzie czekał cierpliwie Stachurski.

— Jak się pan miewa? Tyle lat!

Witaliśmy się serdecznie. Klusownik zestarzał się bardzo. Włosy mu nie zbielewały, ale nabrały jakiejś nieokreślonej barwy; oczy miał wyprane, twarz pomarszczoną.

— Pójdziemy?

W nocy padał deszcz. Niebo było szare, dzień zapowiadał się pochmurny i bez słońca. Pomyślałem, że rżyska będą rozmokłe, a w bródach woda. Lecz spotkałem się ze wzrokiem Stachurskiego. Tyle w nim było niepokoju, że zdecydowałem się.

— Pójdziemy.

Stachurski ożywił się radośnie.

— Na łące są kszyki. Może panicz zabawić się, choć to małe i bardzo bystre...

Nazywa mnie w dalszym ciągu paniczem! I widocznie pamięta moje chłopięce pudła! Z ciekawością spogląda na mojego Pirle'a.

— Nowa fuzyjka?

Wziął broń do ręki, pieścił ją długimi palcami. Przymierzył się, otworzył zamki, zajrzał do luf.

— Piękna sztuka!

Wyszliśmy na ogród. Stary gwizdnął, i zaraz zjawił się jakiś kundel bardzo chudy, pełniący obowiązki wyżła.

— Nowy piesek?

— Trochę jeszcze gorący, ale wiatr ma górny.

Choć był już początek października, kuropatwy od dżdżystej pogody były senne i rwały się grzecznie. Stachurski z uznaniem ocenił kilka moich pierwszych strzałów. Szacunku nabrał wszakże dopiero, kiedy pięć czy sześć bekasów kolejno rzucił na trawę. Gdy w południe zasiedliśmy na piaszczystym wzgórku, bukiet kuropatw i kszyków, przytroczonych do torby, był całkiem obfity. Przy nich duży zając.

Ten kot właśnie wprowadził Stachurskiego w dobry humor. Pomknął przede mną, prawie z pod nóg, wygarnąłem z dwóch luf, a on stulił tylko uszy, wyciągnął się jak struna i szorował dalej, nietknięty. Wówczas Stachurski zmierzył się ze swej pojedynki, wytrzymał dobrze, aż wreszcie rozległ się huk jak z ko-

lubryny. Zając wywrócił kilka koziołków. Obliczyliśmy odległość. Było osiemdziesiąt pięć kroków. Milczący uśmiech rozjaśnił zmiętą twarz starego. Był rad. Pewno sobie w duszy mówił, że i bez hamerless'a można skutecznie polować.

Po śniadaniu zapaliliśmy fajeczki. Stachurski rozkoszował się moim angielskim tytoniem. Niewiadomo skąd, bez potrzeby, a pewno i bez delikatności, odczułem chętkę wyciągnięcia starego na zwierzenia. Wyciągnąłem się wygodnie na piasku, rzadka porosłym macierzanką.

— Nie wierzy pan, jak tu rozkosznie! Przestrzeń, cisza... Tak daleko od zgiełku miejskiego, od redakcji, od teatru!

Stachurski poprawił tytoń w fajeczce.

— Panicz często bywa w teatrze?

— Z obowiązku... Może pan nie wie, że sam zacząłem pisać dla sceny... Stąd znam niemal wszystkich aktorów, aktorki...

Zdawało mi się, że postrzegłem na wąskich wargach natarczywie wysuwające się pytanie. Nic!... Odgarnął je, odrzucił! Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Stachurski wytrząsnął popiół z fajeczki, wstał, nie śpiesząc się.

— Chodźmy, paniczu. Deszczu tylko patrzeć.

Ale był tak roztargniony, że puścił bez strzału zająca, który pomknął odeń o kilkanaście kroków. Choć do zachodu słońca było daleko, zrobiło się szaro, łąki zaczęły dymić mgłami, wilgotny chłód czynił się dojmującym. Na powrotnej drodze spotkał nas drobny deszcz. Zrazu niby gęstszy opad mgły, niebawem przemienił się w cienki, jednostajny kapuśniaczek. Podnieśliśmy kołnierze, maszerujemy ostro naprzelaj przez pola, które gubią się w szaro-niebieskawych oparach. Już rysują się cienie drzew parku. Gdy stajemy u furtki, Stachurski zatrzymał się i żegna. Zapraszam go na szklankę gorącej herbaty.

— Dziękuję paniczowi. Dziś nie mogę.

Czuję do siebie żal i niesmak. Czy godziło się przez pustą ciekawość drażnić bolesną ranę? Mam wrażenie, że Stachurski chce coś powiedzieć. Waha się jeszcze, walczy sam z sobą. Już odchodzi — zatrzymał się.

— A nie spotkał panicz tam w warszawskich teatrach niejakej Rakowskiej? Oczy utkwiał w ziemię i czeka odpowiedzi.

Zdaje mi się, że słyszę łomot serca w starych piersiach. Powiedzieć prawdę? Nie mam odwagi. Jestem w tej minucie tchórzem, zupełnym tchórzem!

— Owszem, widziałem ją na scenie.

Stary podnosi na mnie jasne, wyblakłe oczy. Taki w nich lęk, taki niepokój!

— Bardzo porządna, dzielna dziewczyna... Kto wie, może z niej będzie artystka!... Stachurski uchyla czapki, wyciąga drżącą dłoń.

— Dziękuję paniczowi... Zwierzyne odniosę do kuchni!

I oddała się szybko. Już zniknął na zakręcie parkanu.

Nazajutrz rano przeglądam gazety. Spóźnione, z przed kilku dni. Boże drogi! Co za wiadomość. Czytam po raz drugi.

«W dniu wczorajszym, w skromnym numerze hotelu Kijowskiego, znaleziono bez życia młodą kobietę. Na stoliku przy łóżku stała niedopita flaszcza z cyjan-

kiem potasu. Okazało się, że samobójczynią była młoda artystka, Zofja Rakowska. Motywem rozpaczliwego postępu były podobno zawody życiowe».

W zgiełku wielkiego miasta takie dramaty zdarzają się codziennie.

Rubrykę ich czyta się z tą samą obojętnością, co kronikę teatralną. A każda taka wzmianka jest przecież ostatecznym rozwiązaniem długich, okrutnych zmagania i bólów, jest ogniwem nowych, niemniej okrutnych cierpień. Łatwo domyśleć się, co się stało z dziewczyną. Uwiódł ją kabotyn, próbował wkręcić do teatru, gdy zaś się to nie udało, rzucił. Dziewczyna może kochała naprawdę — może tylko nie umiała dać sobie rady w obcym, nieżyczliwym zbiorowisku... Bóg z nią, skoro nie żyje. Ale Stachurski!

Wzmianka w dzienniku kończy się zdaniem:

«Obok trucizny leżała kartka, w której samobójczyni oświadcza, że umiera z własnej woli i prosi o odesłanie listu w zapieczętowanej kopercie do rodziny».

Może ten list jest już w rękach Stachurskiego?

Pada deszcz. Postanowiłem wracać do Warszawy. Odjechać bez pożegnania ze starym towarzyszem polowań?

Po południu przetarło się trochę. Staję przed chałupą Kielkonia. Izba Stachurskiego szczelnie zamknięta.

— Pan Stachurski poszli z siostrą do miasta — objaśnia jakaś dziewczyna.

Na skrócie szosy, przy bramie wjazdowej do parku spotykam oboje starych. W rękach książki do nabożeństwa. Zgarbieni, milczący, beznadziejnie smutni.

— Chciałem pożegnać się z panem... Jutro rano wyjeżdżam.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie prawie nieprzytomnymi oczami.

Niebo wypogodziło się. Powietrze pachniało wszystkimi woniami jesieni. Słysząc było ryk wracającego do obór bydła, skrzypienie żórawi studziennych, wesole nawoływania chłopaków wiejskich, poszczekiwanie psów. Wieś żyła swym zwykłym, codziennym życiem.

— Panicz odjeżdża?...

Stoimy w milczeniu ciężkim i zawilem. Chciałbym powiedzieć coś i nie umiem znaleźć słów. W pewnych okolicznościach milczenie jest najwymowniejsze.

— Żegnajcie, paniczu!

W długim uścisku dłoni wypowiadamy sobie to, czego usta nie umiały wyrazić.

— Do widzenia, panie Stachurski.

Panna Stachurska na mokrej szosie składa ceremonijalny dyg...

Nie widziałem ich więcej. Stachurski zmarł nagłą śmiercią w parę miesięcy potem, zaś siostra, nie doczekawszy nawet pogrzebu brata, podążyła za nim.

SPIS RZECZY

	Strona
WIOSNA NA PIŃSZCZYŹNIE	7
«KTÓŻ ZBADAŁ PUSZCZ LITEWSKICH PRZEPASTNE KRAINY?»	23
NA GŁUSZCACH W BIAŁOWIEŻY	33
WSCHÓD SŁOŃCA NA CHOLCZY	47
PRZEDWIOŚNIE W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ	53
POLOWANIE NA ZAJĄCE W SKAŁACIE	61
GDZIE PARDWA ŻERUJE	69
JARZĄBKI	81
NA GRUBEGO ZWIERZA	87
LATEM NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM	97
BRACIA MIKSZTUNOWICZE	103
PAN STACHURSKI	117

1. ALCANTARA	101
2. ALCANTARA	102
3. ALCANTARA	103
4. ALCANTARA	104
5. ALCANTARA	105
6. ALCANTARA	106
7. ALCANTARA	107
8. ALCANTARA	108
9. ALCANTARA	109
10. ALCANTARA	110
11. ALCANTARA	111
12. ALCANTARA	112
13. ALCANTARA	113
14. ALCANTARA	114
15. ALCANTARA	115
16. ALCANTARA	116
17. ALCANTARA	117
18. ALCANTARA	118
19. ALCANTARA	119
20. ALCANTARA	120



212 KZCSA